



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 14 CZERWCA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY

T RE Ś Ć N U M E R U :

Udział kobiet w walce z alkoholizmem—Jan Szymański. Jsszcze jedna ze spraw ważnych—K. S. Miłość dla Polski—C. Walewska. Zofja Rogoszówna (dokończenie)—I. M. Świat Kobięcy (feljton) c. d.—Marja Grossek Korycka. Z cyklu „Moje dzieciństwo”—Zofja Rościszewska. Drogami duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna. O Edwardzie Abramowskim(c. d.)—M. Dąbrowska. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Kartki z Włoskie—Halina C. Wilczyńska. Wystawa „Rytmu”—N. Samotyłowa. Na polach pracy i twórczości.—H...a Kobieta w świecie i w domu—Z. B. W zwierciadle dnia—Jaga. Z teatrów—W. Miłaszewska. Z książek—J. E. Kącik lekarski—Dr. J. Śmiarowska. Szal, chustka, chusteczka—W. Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: 1) We mgle; 2) Sługa—Ada Negri (autoryzow. przekł. z włoskiego R. Centnerszwerowej). Dodatek robót i ubiorów.

UDZIAŁ KOBIEC W WALCE Z ALKOHOLIZMEM

„Jeżeli nie przyczynicie się do zwalczania alkoholizmu, to zaniedbacie chorobę, która pożera rdzeń społeczeństwa, niszczy szczęście domowe i wyrządza może więcej nieszczęść, niż jaka inna przyczyna w naszym wieku“.

Kardynał Manning

Gdziekolwiek toczy się walka z alkoholizmem—kobiety zawsze biorą w niej udział bardzo wybitny, są one zawsze gorącymi propagatorkami idei trzeźwości, biorą żywy udział w pracach towarzystw abstynenckich, prowadzą zaciętą walkę z szynkami, usiłują przeprowadzić i przeprowadzają ustawy przeciwalkoholowe.

Pochodzi to głównie stąd, że nikt tak dokładnie, tak realnie i często tak tragicznie nie odczuwa skutków alkoholizmu w całej ich potworności—jak kobiety. Zbyt bliskie, zbyt oczywiste są te skutki dla umysłów i serc kobiecych, przemawiają one przez fakt rozbicia wskutek al-

koholizmu rodziny, przez zgubę najdroższych bliskich, przez upadek moralny i fizyczny dzieci... nic więc dziwnego, że kobiety występują przeciw alkoholowi czasem z żywiołową, odruchową nienawiścią, bo to jest wróg zacięty i nieubłagany ich ognisk domowych.

W znakomitym, podziwu godnym, amerykańskim ruchu przeciwalkoholowym kobiety odegrały rolę decydującą—swoją wytrzymałością, energią i zaciętością w walce z szynkami, swoim zapałem i poświęceniem bezgranicznym przyczyniły się one w ogromnym stopniu do triumfu idei trzeźwości w wielkiej Rzeczypospolitej. W walce tej uwieczniło się między innymi imię mrs. Hunt, która specjalnie poświęciła się ratowaniu dzieci przed klęską alkoholizmu. Jej znakomite zdanie: „jeżeli dziś uratujemy dzieci—uratujemy jutro cały naród” stało się hasłem walczących szeregów abstynenckich. W Anglii wślawiła się miss Agnieszka Weston,

apostołka idei trzeźwości wśród marynarzy angielskich. — We wszystkich parlamentach, do których uzyskały dostęp kobiety—przedewszystkiem zajmowały się one sprawą realnej walki z alkoholizmem. Tak się stało niedawno w angielskiej Izbie gmin, gdzie pierwsza posłanka pani Astor pierwszą swoją mowę poświęciła zagadnieniu walki z alkoholizmem.

W naszym Sejmie Ustawodawczym z nazwiskiem posłanki Marji Moczyłowskiej związana została nierozdzielnie ustawa przeciwalkoholowa z r. 1920.

W polskim ruchu abstynenckim, który powstał i został zorganizowany na początku bieżącego stulecia odrzucający czynny i gorący udział wzięły kobiety. Jedną z pierwszych wśród nich była Marja Konopnicka, która słowem i przykładem własnym popierała i szerzyła ideę trzeźwości całkowitej. Została ona członkiem dożywoćnym organizacji abstynenckiej. Napisała hymn abstynentów,

który też stał się uroczystą pieśnią abstynentów polskich, śpiewaną na zebraniach, zjazdach i uroczystościach.

Bardzo poważny udział w polskim ruchu abstyntenckim wzięła znana ekonomistka prof. Wolnej Wszehnicy, Dr. Zofja Daszyńska-Golińska. Prowadziła ona specjalne badania statystyczne nad alkoholizmem w Małopolsce, ogłosiła szereg prac i broszur, poświęconych sprawie walki z alkoholizmem, wygłaszała liczne wykłady i odczyty. Przez czas dłuższy stała na czele organizacji abstyntenckiej w Małopolsce.

Zasłużyły się też na tem polu pracy społecznej p. p. Brunona Bruchnalska we Lwowie, Marja Wojnarowa w Krakowie, Marja Hornowska literatka i znana autorka pedagogiczna. Nie mamy możliwości i nie jest celem niniejszego artykułu wymiana tych licznych nazwisk kobiet polskich, które pracowały i pracują nad uwolnieniem społeczeństwa od klęski pijaństwa.

Wspomnieliśmy wyżej, że uchwalenie naszej ustawy przeciwalkoholicznej zostało ściśle zespolone z nazwiskiem p. Marji Moczydłowskiej, o której słusznie powiedział jeden z posłów obecnego Sejmu, że przez ustawę tę zasłużyła ona na trwały pomnik o znaczeniu—moralnem. Dodać tu jednak należy, że w przeprowadzeniu tej doniosłej ustawy w latach 1919—1920, a następnie — i to szczególnie podczas obrony tej ustawy, w Sejmie w latach 1920—1922, gdy zjawily się wnioski, zmierzające do faktycznego unicestwienia ustawy, (w życie jeszcze nie wprowadzonej) wzięły gorący i bardzo czynny udział inne posłanki, występując w tej usilnej pracy ręką w rękę bez względu na różnice przekonań politycznych. Posłankami temi były przedewszystkiem panie: Sokolnicka, Moraczewska, Balicka, pomagały im i współdziałały z niemi p. p. Irena Kosmowska i Wilczkowiakowa. Dzięki tym kobietom, dzięki ich poświęceniu, odwadze cywilnej i umiłowaniu słusznej sprawy—Sejm ustawodawczy nie dał posłuchu podszeptom sfer zainteresowanych i nie popełnił gorszącego kroku przekreślenia własną ręką — bez żadnej istotnej przyczyny i celu, uchwalonego przez siebie prawa Ustawa ta przynosi Sejmowi Ustawodawczemu

zaszczyt. Prawdziwie bowiem zawarła się w tej ustawie troska o dobro i przyszłość całego narodu. (Dla ścisłości zaznaczyć tu należy, że gdy referentką w Sejmie projektu ustawy w l. 1919—1920 była p. Moczydłowska, to referentem sprawy obrony ustawy w l. 1921—1922 był poseł Zenon Lewandowski z Poznania, który wykazał istotne zrozumienie doniosłości ustawy przeciwalkoholowej, moc charakteru i ofiarne poświęcenie)—Polska ustawa przeciwalkoholowa oceniona została w sposób zaszczytny na terenie międzynarodowym, mianowicie XVII Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy w Kopenhadze (1923 r.) po przedstawieniu treści jej przez delegatów polskich posłankę Irenę Puzyniankę i dr. Rafała Radziwiłłowicza — uchwalił uznanie dla Sejmu i Rządu Rzeczypospolitej za uchwalenie ustawy. Tego rodzaju rzadkie uznanie na terenie międzynarodowym jest wysoce cenne.

Ale mało jest walczyć o ustawy. Należy dążyć usilnie, aby życie nasze codzienne odpowiadało ideałom głoszonym. I tu w dziedzinie otrzeźwienia narodu spoczywa na kobietach wielkie zadanie i niemniejsza odpowiedzialność. Wielka poetka dała dowód zrozumienia tego zadania i odpowiedzialności przez czyn realny — wyrzeczenia się uroczystego trucizny alkoholowej. Oto przykład godny naśladowania, oto wskazówka należytego pojmowania swych zadań. Kto chce otrzeźwienia całego narodu — ten sam winien świecić przykładem całkowitej trzeźwości. Innego wyjścia niema. Inaczej będą to tylko frazesy, być może pełne zapału, ale pozbawione najgłębszej wagi w postaci realne-



go czynu. Kobiety, kapłanki ogniska domowego, powinny całkowicie usunąć zeń truciznę alkoholową. Pamiętajmy, że najlepszą nauką—(szczególniej w sferze przyzwyczajęń i obyczajów)—jest przykład. A, niestety, ze smutkiem i bólem konstatujemy fakt, że zwyczaj używania rozmaitych wyrobów alkoholowych coraz szersze kręgi zatacza wśród kobiet polskich. Czyżbyśmy mieli doczekać tego, że kobiety zechcą wejść na drogę, którą im wskazywał jeden z uczestników zjazdu szynkarskiego w Warszawie, gdy wołał, że najlepszym sposobem obalenia ustawy przeciwalkoholowej jest: nauczyć kobiety pić?

Cynicznie, ale szczerze! — Jednocześnie, w sposób zastraszający wzrasta alkoholizm wśród dzieci. To już wywołuje uczucie zgrozy. Co nas czeka, gdyby nastąpić miało zalkoholizowanie kobiet i dzieci?..—Jedno tylko—zguba. Wypowiadamy to słowo z całym poczuciem jego znaczenia. Szybka i stanowcza poprawa leży w ręku kobiet samych. Wiele, bardzo wiele mogą tu zdziałać organizacje kobiece.

W obecnej „chwili osobiwej” należy tak postępować, aby etyczny poziom społeczeństwa podnosić, a nie zniżać go do poziomu bagniska karczemnego. Należy dążyć do podniesienia mężczyzn i ogółu narodu do ideału moralności i czystości kobiecej w myśl wskazań matki Józefy Karskiej (r. 1856).

„W żadnym kraju w dziele przeobrażenia całego towarzystwa ludzkiego nie można, pomijać kobiety, dopiąć zamierzonego celu. Ale szczególnie w Polsce nietylko pominąć ich nie należy, ale głównie od nich zacząć potrzeba, aby gruntownie rzecz przeprowadzić. W żadnym kraju samą siłą rzeczy i siłą wrodzonych zdolności, tyle wpływu, co u nas, nie mają kobiety nigdzie, nigdzie ich też nie wychowują tak, jak u nas winny być wychowywane. Kobiety tyle wyższości mieć powinny, żeby powszechnemu powołaniu: córki kościoła, obywatelki, żony, matki, opiekunki ludu i sierot, szkółek i ochron, wreszcie leczeniu chorych, godnie i sumiennie odpowiedzieć, a bez gruntownych cnót żadna wyższość umysłowa, ani też popędy serca nie byłyby wystarczające, aby je wytrwale utrzymać, na najczęściej 'ciernistej drodze obowiązku“.

JESZCZE JEDNA ZE SPRAW WAŻNYCH

I.

Kiedy w r. 1919 jedno z pism codziennych w Warszawie, zwróciło się do mnie z propozycją współpracy w dziale pedagogicznym, powiedziałam: Dobrze, zobaczę, o ile mi zajęcia szkolne na to pozwolą. Zastrzeżenie okazało się zbyt ciężkie, bo zaraz na wstępie rozbiła się sprawa o całkiem inną przeszkodę. Okazało się bowiem, że różnimy się gruntownie w zapatrywaniach na zasadnicze kwestje.

Największą, najgroźniejszą „bólączką” naszego szkolnictwa w owym czasie — dodajmy odrazu, że dotychczas niewiele się pod tym względem zmieniło — była sprawa lokali szkolnych. Szkoły przepełnione po 70—80 i więcej uczniów w klasie wytwarzały stan nie tylko fatalny dla nauki, ale co gorsza dla zdrowia. Przerazenie ogarniało mnie na myśl o tem, w jakich warunkach dzieci nasze spędzać muszą większość dnia, w jakich warunkach rozwijać się fizycznie i umysłowo. Przerazenie ogarniało na myśl, jakie zgubne skutki wynikną muszą stąd dla narodu, jeśli dorastające pokolenia, a więc najbliżsi spadkobiercy naszego państwa, okażą się cherlakami pod każdym względem.

Posłałam więc do redakcji tego pisma jako pierwszy artykuł: „Konieczności wojenne, a konieczności pokojowe”.

Prowadziliśmy wtedy jeszcze ciężkie walki z naszymi sąsiadami. Chodziło mi o wykazanie, że obok konieczności wojennych istnieją niemniej groźne i pilne konieczności pokojowe, że walcząc z przemocą zewnętrzną, nie wolno równocześnie zaniedbywać walki z wewnętrzną niemocą. Bo i cóż nam przyjdzie z tego, że zdobędziemy choćby najszerze i najsilniejsze granice, jeśli ci, co po nas przyjdą, nie będą mieli dość sił, aby to dziedzictwo utrzymać?! Zdobyłam się nawet na tak ryzykowne twierdzenie, że jeśli mimo toczącej się wojny sejm uważa sprawę reformy agrarnej za tak pilną, że całe miesiące jej poświęca, to sprawa lokali szkolnych, sprawa zdrowego powietrza i nauki dla młodzieży naszej jest conajmniej równie ważną i pilną.

I to mnie właśnie zgubiło! Wykazałam karygodną niedojrzałość dziennikarską. Bo jakże szanujący się dziennik mógł umieścić artykuł tak naiwne „niepolityczny”? Inna rzecz, że mi rękopisu nie zwrócono i w jakie dwa miesiące umieszczono go bez mojej wiedzy „z obcięta głową i z obciętemi nogami”.

Rozpisałam się o tem trochę obszerniej, aby scharakteryzować doświadczenie i uwypuklić stosunek prasy do

pewnych kwestyj, aby podkreślić odnoszenie się społeczeństwa do tych spraw. Bo choć od tego czasu upłynęło już lat kilka, właściwie niewiele pod tym względem się zmieniło. Konieczności wojenne dawno już zniknęły, reforma agrarna również zesłała z porządku dziennego, a jednak sejm nasz, zajęty rozmaitemi ważnymi sprawami, dotychczas nie znalazł ani czasu ani nawet zainteresowania dla tak „błahej” sprawy, jak lokale szkolne.

Tylko od czasu do czasu, z początku lub z końcem roku szkolnego jakiś „niepoprawny idealista” skromnie przypomni, że niedobrze się dzieje, że szkoły są przepełnione, że trzeba by jakoś zaradzić złu i t. d. I znowu zostaje po dawnemu. Milczą wszyscy, a przede wszystkim najbardziej zainteresowani t. j. rodzice. Milczą, bo wobec przepełnienia szkół tak są uszczęśliwieni, gdy dziecko zostanie przyjęte, że już o niczym więcej marzyć nie śmia. Trudno bowiem przypuścić, aby nie wiedzieli, w jakich warunkach higienicznych dzieci ich spędzają większą część swojego młodego życia.

Zbliża się właśnie koniec roku szkolnego, spróbuję więc po raz drugi być „niepoprawną idealistką” i w krótkich zarysach poruszę tę przykrą sprawę, o której radziby wszyscy zapomnieć.

W zasadzie nie chcę dotykać kwestji kreowania nowych szkół, gdyż tu musiałabym zaraz wejść w kolizję z hasłem oszczędności skarbowej, z zasadą układania budżetów i tym podobnymi „ciężkimi machinami”, które wymagają osobnego, bardzo umiejętnego i oględnego traktowania. Ta kwestja jednak zaraz sama się narzuca. Bo jakże zaradzić przepełnieniu szkół już istniejących? Jak rozstrzygnąć narzucającą się alternatywę: czy lepiej zostawić stan taki, jaki jest t. zn. w dalszym ciągu kształcić młodzież w warunkach nieodpowiednich pod względem higienicznym i wychowawczym, czy też z dwojga złego ograniczyć ilość garnącej się do nauki młodzieży? Jak ciężko na te pytania odpowiedzieć, wiedzą o tem dobrze, nasze organa szkolne, wiedzą zarządy szkół, obleganych przez rzeszę ubiegających się o przyjęcie. Doszło do tego, że wielkiej trzeba protekcji, aby dziecko znalazło umieszczenie nie tylko w szkole państwowej, ale nawet w prywatnej, dość drogo opłacanej. Prawie zawsze zwyciężają w jednych względy natury humanitarnej, czy towarzyskiej, w drugich stosunki ekonomiczne — w obu wypadkach niestety, kończy się na przepełnieniu szkół.

Jakkolwiek sprawy się mają, szkoła powinna przyjmować tylko tyle uczniów,

ile bez naruszenia przepisów higieny i pożytku pracy pedagogicznej pomieścić może. Od tej zasady w żadnym wypadku odstąpić nie wolno!

Co robić z resztą dzieci? O tem pomyśleć muszą nasi posłowie i senatorowie. Są to już zagadnienia ogólniejszej natury, wymagające rozstrzygnięcia takich pytań, jak: Czy należy dążyć do maximum oświaty i nauki, jaki powinien być w tem udział państwa, a jaki inicjatywy prywatnej, jaki powinien być stosunek funduszy, przeznaczonych na szkolnictwo do innych pozycji budżetu państwowego i t. p.

Nim to się stanie, musimy — i dodajmy odrazu — możemy przy odrobinie dobrej woli przeprowadzić sanację stosunków w granicach koniecznych, a możliwych. Chodzi mi o budynki i lokale szkół już istniejących.

Sądzę, że gdyby rodzice — przynajmniej duża ich większość — którzy poświęcają dla dzieci swoich tyle zaciepków, tyle wysiłków fizycznych, materialnych i moralnych, gdyby zechcieli sobie jasno uprzytomnić fatalny stan rzeczy, nie szczydziłiby żadnego trudu, żadnych ofiar. Czy mam wyraźnie tłumaczyć, o co rzecz idzie? Oto od 6-go do 18-go roku — a więc 12 lat ważnych, decydujących, dzieci ich spędzają przeważnie, w szkole. Tam rosną, rozwijają się i dojrzewają fizycznie, umysłowo i moralnie. Stamtąd mają wyjść przyszykowane do dalszego życia i pracy. Jak sądzicie, Szanowni Państwo, czy obojętna tu będzie sprawa dostatecznej ilości powietrza, słońca, wygodnych i estetycznych urządzeń, dostatecznej opieki wychowawczej? A czy w klasach ciasnych, niewygodnych, gdzie wobec nadmiernej ilości uczniów nauczyciel nie jest w stanie nawet ich poznać bliżej, w szkołach, nie mających ani odpowiednich pracowni, ani sal rekreacyjnych, ani ogródka, ani nawet obszernych korytarzy — czy może być mowa o osiągnięciu któregokolwiek z tych celów?

To też dobrze znamy zgubne tego następstwa: anemja — zwłaszcza u dziewcząt — niedorozwój fizyczny, skrzywienia kręgosłupa, osłabienie wzroku i t. p. w nauce werbalizm, brak pogłębienia, szablon, pod względem obyczajowym zaś duże obniżenie poziomu, rozluźnienie karność i szacunku dla nauczycieli. A nad tem wszystkim dominuje nuda, apatia, niechęć do szkoły.

Czy winne są temu złe lokale szkolne?

Nie we wszystkim, ale w dużej mierze!

(c. d. n.).

K. S.

MIŁOŚĆ DLA POLSKI

W uroczym podmiejskim zakątku północno-wschodniej części Londynu, pełnym zieleności i rozgwaru ptaków bije dla Polski jedno serce trwałem i wiernem od lat wielu uczuciem.

Anglicy tak mało wiedzą o Polsce, a to, co wiedzą, jest jak obraz, odbity w popękanym zwierciadle, gdzie krzywią się linje, kłamiąc prawdzie, urągając sprawiedliwości. Anglicy tak nie lubią i tak nie chcą lubić Polski. Skąd w tem jednym z niewielu serc angielskich zrodziła się miłość dla nas, twarda i mocna, jak przeznaczenie?..

W Hampstead, mieście zieleności, jest ogródek cały pełen malw — ulubiony kwiat Mickiewicza — a w ogródku domek o charakterze angielskim z mnóstwem pamiątek polskich. Książki z własnoręcznymi podpisami i dedykacjami wielkich polityków, jak Dmowski, piękne wydania dzieł poetów dawnych i współczesnych, między innymi — ostatni Kasprówicz, cenne autografy, Mickiewicz na czele, ładne obrazy, cały Grottger w reprodukcji, śliczny wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, patronki kraju naszego, wszystkie emblematy i godła Polski, zbiór kart naszych, orły, białe orły wszędzie... przycisk srebrny z mapą Polski, wielka mapa kraju naszego na ścianie... Istne muzeum. Każdy przybysz polski, przestępując próg tego sanktuarjum, zostawia jakiś drobiazg, zlewający się w całość jedy-nych może na gruncie angielskim zbiorów.

W zacisznym domku, w lasku smukłych malw — mieszka drobna, szczupła kobieta o jasnych, marzących oczach, jasnych włosach i regularnych rysach, podłużnej twarzy. Bardzo nieśmiała. Bardzo zamknięta w sobie. Żadnych sportów, żadnych zabaw. Serce jej bije dla Polski...

Marja Monika Gardner.

Prawie nie wiemy o niej, bo tylko ci, co wracają z Anglii, złożwszy hołd czystej, kryształowej duszy mieszkanki zacisznego domku w Hampstead, mówią najbliższym swoim o wielkiem jej uczuciu dla Polski. W prasie naszej nie rozbrzmiewa jej imię, bo nie lubi, żeby pisać o niej*), nie chce dawać portretów swoich, nie chce widzieć siebie w ilustracjach. Kocha Polskę dla Polski samej, kocha ją od dzieciństwa i czuła ją w sobie zawsze.

Miała lat 12, kiedy wpadł jej w ręce żywot św. Stanisława Kostki, tego dziecka — bohatera, któremu świe-

tną, wielkopańską karierę przygotowywał magnat ojciec, a który wzgardził honorami doczesnymi i zapragnął jednego tylko: zostać członkiem zakonu Towarzystwa Jezusowego. A gdy rodzina sprzeciwiła się temu, przezwy-ciężył góry przeszkód i, mając lat 16 zaledwie, pieszo, w łachmanach o ki-ju zebraczym powędrował do Rzymu, a potem błagał Boga, żeby na Wniebowzięcie Matki Boskiej, patronki Polski, mógł być w niebie, tam święcić dzień Jej triumfu i chwały. Zmarł 15 sierpnia o godz. 3 rano, prawie nie chorując. Ciało jego zachowało czerstwość, a twarz — świeżość i wdzięk anielski. Prośba 18 letniego chłopca została wysłuchana. Na dzień Wniebowzięcia był w niebie. Cud!...

Ten mały święty rzucił jakiś urok na duszę anielskiego dziecka. Odtąd czytała wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek mogła znaleźć o Polsce bądź po francusku, bądź w tych niewielu książkach angielskich o Polsce, które prawie nigdy nie były nam przychylne.

Ale nic już wtedy: najcięższe oskarżenia, najgorsze paszkwile nie były w stanie zmienić uczuć Marji Moniki dla „kraju łez i niewoli”.

Po skończeniu szkół nauczyła się po polsku i odtąd polska twórczość, sprawy polskie, wszystko, co tyczy się Polski, pochłonęło ją tak całkowicie, że literatura, historia, język nasz stanęły na czele jej studjów.

Pan Tadeusz był jedną z pierwszych książek polskich, które przeczytała, a okres romantyzmu naszego należy do epok znanych jej najlepiej. Uwielbia Krasińskiego, któremu poświęciła pracę swoją p. t. „The anonymous Poet of Poland Sigmund Krasiński” (1919 r.), gdzie pomieściła cały Hymn Wiary, przetłomaczony na język angielski dźwięcznym, wysoce harmonijnym rytmem. Ślicznie przetłomaczyła również „Smutno mi Boże!” Słowackiego i bardzo wiele ustępów z Anhellego i z poezji Mickiewicza, które przytacza, pisząc o poetach naszych bądź w książkach i broszurach, bądź w artykułach dla różnych miesięczników angielskich. Oddzielnie w piśmie „The Road”, prze-

znaczonem dla młodych dziewcząt, zamieściła tylko przekład wiersza Konopnickiej „U Progu”.

Do najbardziej znanych i czytanych w Anglii książek jej o Polsce należą: „Adam Mickiewicz” (1911 r.), „Poland: a Study in National Idealism” (1915), „Poland” (Peeps of Many Nations series for children) 1917 r., „Kościuszko” (1920 r.), którą to pracą zachwyca się bardzo jeden z profesorów oksfordzkich, żalując niezmiernie, że nie została zaopatrzona mapą i portretem wodza — bohatera, czego nie dało się zrobić ze względu na koszt duży.

Gościła katoliczka, Marja Monika Gardner, należy do współpracowników bardzo poczytnego organu katolików angielskich „The Tablet”, gdzie w № 4379 z 12 kwietnia r. b. zamieściła artykuł o pięknym poemacie K. Młakowiczówny, opisującym kaźń więzienną i stracenie księdza Budkiewicza przez bolszewików. W pełnych uniesienia i miłości słowach odtwarza autorka martyrologję dostojnego skazańca, podkreślając najpiękniejsze i najwznioślejsze obrazy poematu.

Bardzo nikłą zaledwie część dorobku literackiego p. Gardner zawiera szkic niniejszy. Pisze ona o Polsce ciągle i w każdej ważniejszej okoliczności życia naszego. Gdy obchodziliśmy 150 l. rocznicę Komisji Edukacyjnej, poświęciła temu tematowi obszerny artykuł w październikowym numerze Times'a w dodatku, omawiającym sprawy wychowania. Zasila pracami swemi encyklopedje, miesięczniki, tygodniki, niestrudzona, zawsze na czatach wszystkiego, co dzieje się u nas, przejęta do żywego polityką naszą, śledząca bacznie wszystkie jej przełomy, szczęśliwa szczęściem każdego promienniejszego dnia naszego.

Ta szlachetna przyjaciółka nasza mieszka wraz z matką, która dzieli wszystkie zainteresowania córki. Marzą obie o chwili, w której kiedyś może dwa ukochane ich narody — angielski i polski — wyciągną bratnie ręce do siebie i przycichną te przykre rozdzwinki nieubłaganych wskaźników polityki, przewijające się nicią czerwoną poprzez dzieje stosunku Anglii do Polski od wieków.

Marja Monika Gardner była w Polsce rok temu wraz z bratem swoim, Edmundem, profesorem uniwersytetu, znakomitym znawcą Danta i autorytetem w sprawach włoskich. W ciągu miesiąca zdołali zwiedzić tylko Kraków i Poznań.

Na dostojną przyjaciółkę Polski czeka teraz Warszawa, która pragnie złożyć hołd jej wiernym, szlachetnym, czystym i tak bardzo bezinteresownym uczuciom.

C. Walowska



*) Trochę szczegółów, zawartych w artykule niniejszym, otrzymałam od jej serdecznej przyjaciółki Polki, która wyprosiła pozwolenie podania ich do druku.

4)

ZOFJA ROGOSZÓWNA

UR. 1882 † 1921 R.

Latem 1913 r. wzbiera w niej tęsknota do dawnych przyjaciół. Czuje się na tyle silną, że ryzykuje podróż i w listopadzie przyjeżdża na parę tygodni do Warszawy. Jakby przeczuwała, że wkrótce już uczynić tego nie będzie można. Cudna jesień przyjmuje ją gościnnie i bez szwanku na zdrowiu powraca odświeżona do Krakowa. W 1914 r. następuje długotrwała przerwa w kontakcie osobistym z Warszawą, spowodowana nawałnicą dziejową.

Dopiero w 1917 r. nawiązują się porwane stosunki między dzielnicami.

Rogoszówna, pobudzona zmianą stosunków politycznych, myśli o akcji literackiej na szeroką skalę. Powraca do projektu założenia pisma dla dzieci, przede wszystkim dla wsi: „Lud, dzieci wiejskie coraz więcej garną się do czytelnictwa, ale literatury niema dla nich zupełnie”. Wszakże brak środków materialnych i sił fizycznych, związanych z organizacją takiego przedsięwzięcia, nie pozwalają jej urzeczywistnić tej myśli.

W tymże 1917 r. wychodzi zbiór wierszy dla dzieci i młodzieży p. t. „W Słoneczku” napisany przy współudziale siostry Józefy Rogosz - Pieńkowskiej podczas pobytu letniego w Nowym Targu. „Pracuję. Po latach zupełnego zastoju przyszedł lepszy okres. Musiałam przerzucić się z prozy do poezji. Byłam pewna, że nigdy jednego wiersza skreślić nie potrafię, a teraz wszystkie pomysły, jakie mam, tylko w formę wierszowaną ująć mogę. Piszę bardzo zabawną fantastyczno-komiczną powiastkę p. t. „Dzieci Pana Majstra” wierszem. Książkę tą, ostatecznie wykończoną latem 1920 r. autorka lubiła najwięcej ze wszystkich swoich utworów: „Żadna książka tyle mi szczęścia nie dała, co te łobuziaki moje miłe” mówiła do siostry, — „a Butkę, to tak kocham, jakby to była moja córeczka”.

Myśl Rogoszówny wciąż powraca do literatury ludowej. Zagląda do skarbnicy podań i gadek i czerpie z niej pomysły do nowych utworów. Już w 1916 r. za czasów dyrekcji Lucjana Rydla wystawiła w teatrze miejskim sztukę dla dzieci p. t. „Zemsta Kasznura”. Obecnie po powrocie z wywcześnie w Nowym Targu, zajmuje się wystawieniem w teatrze ludowym w Krakowie „Darów Czarnej Wróżki”: „wystawili marnie, trudno marniej, tak, że zgrzyoty było więcej niż zadowolenia. Mimo to sztuka podobala się bardzo. Jak mnie zapewnił Grzymała-Siedlecki odniosła pełny sukces”. I skarży się dalej „pracowałam nad nią pół roku, — dostanę 400 koron”.

Jednocześnie przygotowuje zbiorzek gadek staropolskich ludowych dla malutkich dzieci, które wydaje Osso-

lineum p. t. „Srocza Kaszkę Warszyla”.

W 1918 i 19 roku układa również dla najmłodszych z podań ludowych 2 zbiorki niedrukowane dotąd p. t. „Klituś Bajduś” i „Koszałki—Opalki”, które mają ukazać się w roku bieżącym w wydawnictwach gwiazdkowych Arcta, — oraz „Kolorowe Bajeczki” wydane na gwiazdkę przez Mortkowicza w 1920 r. W tym czasie opracowuje także nie wydaną dotąd „Uczę Zwierrzą” i śliczną książeczkę, pozostałą w rękopisie „Dzieje Młodego Sambo”. Zapoczątkowany latem 1917 r. kończy zimą 1918 r. w Zakopanem jedyny dłuższy poemat liryczny niedrukowany dotąd p. t. „Wierzbą z Urwiska”. Powiada o nim „to jest pierwsza, a może i ostatnia rzecz moja osobista”. Dedykuje ją d. 14 kwietnia 1918 r. bliskiemu przyjacielowi i lekarzowi, którego zna od pobytu w sanatorium d-ra Dłuskiego z 1907 r. d-rowi Januszkowskiemu.

Niestety z powracającą falą twórczości—gromadzą się znów ciężkie chmury smutku na horyzoncie rodzinnego życia Rogoszówny. „Matka coraz słabsza, coraz mniej ma sił i wytrzymałości nerwowej, a niemożność należytego odżywiania się w czasie wojny wyczerpują ją coraz bardziej”.

Myśląc zawsze o innych, Rogoszówna nie wspomina nic o sobie. A wszak i na jej zdrowie wojna oddziaływała fatalnie: uniemożliwiała z jej strony spędzanie choć kilku miesięcy na rok w pomyślnych warunkach klimatycznych, — z drugiej strony pogorszyła warunki materialne codziennego życia. Kochając Matkę tak, jak serce jej kochać umiało, — rozumiała, że ta matka, która wniosła już tyle ciosów i klęsk, przeżyć jej nie powinna. Podziw i cześć wzbudzał hart duszy tej kruchej fizycznie, a tak ciężko doświadczonej już przeżytemi stratami najbliższych kobiety, gdy najwyższą ofiarę składając, z głębi rozbolełego serca, powiedziała kiedyś: „Jednego już tylko pragnę od losu, żeby oszczędził matkę i żeby Matka umarła przede mną”. Kochała Matkę więcej niż siebie — o Matce myślała — nie o sobie.

I temu jednemu życzeniu los uczynił zadość. Zachwiane zdrowie p. Rogoszowej nie miało już powrócić. Bezmiernie kochającej córce przypadła w udziale szarpiąca, ciężka, choć słodka, lecz ostatecznie podkopująca siły fizyczne i nerwowe dola — podtrzymywać najdroższe, a gasnące zwolna życie najdroższej istoty.

W chwili wybuchu wojny z Rosją w sierpniu 1920 r. Zofja Rogoszówna spędza drugie z rzędu lato w Poroninie z Matką i całą rodziną. Pani

Rogoszowa była już wówczas tylko cieniem dawnej, pełnej energii i zdrowia, dzielnej i odpornej „Matusi”. Już wówczas nie ona dzieciom, lecz dzieci służyć jej musiały, i krzepić i ludzić, że nie jest tak źle, jak mówiło odbicie wynędzniałej, schorowanej postaci w zwierciadle.

I tak fatalnie warunki rodzinne się składały, że nie zdrowa o chorą, lecz chora o chorą troszczyć się musiała. „Niestety, lato obecne mimo trwałej choroby i „sutej” apro wizacji nie da mi, zdaje się, tyle sił, ileby mieć należało „na zapas” do Krakowa” pisze Rogoszówna 19 sierpnia 1920 r. „Matusię zaczął ząb boleć, trzeba było jechać go wyjąć. Wszystko się udało bardzo pomyślnie, mimo to ja nazajutrz miałam 38° gorączki. Trwało to tylko jeden dzień, ale zaniepokoiło mnie, jako objaw bardzo niepożądany u pielęgniarce, która powinna nie tylko nadrabiać miną, ale mieć jakie takie zdrowie, bo od niego zależy spokój i zdrowie Matki. Takby trzeba mieć tego zdrowia dużo, dużo, żeby móc pracować, tak jak ja pracę rozumiem”.

W tej samej chwili rozgrywały się losy narodu. „A oni się tam biją, a łuny krwawią się dokoła Warszawy i serce łopocze w niepokoju. W tej ciszy jaka tu panuje, oczekiwanie staje się nieznośną męką”.

W Warszawie przeżywalismy już wówczas „Cud Wisły”. Bezpośredniej radości tego wstrząsu ocalenia, tu na miejscu i z nami, Rogoszównie nie danem było przeżyć. Jednak odtąd wzbiera w niej wzmożona tęsknota do Warszawy i przyjaciół. Chociaż na chwilę pragnie odetchnąć jej atmosferą, — i gdy w październiku następuje pewne polepszenie w stanie zdrowia Matki, przybywa do stolicy w d. 1 listopada.

Mimo wyjątkowo pogodnej jesieni czuje się osłabioną i bardzo silnie kaszle.

Po kilka godzin dziennie przebywa z najbliższymi przyjaciółmi i odbywa konferencje z wydawcami, — poza tem większość czasu spędza w łóżku. Mimo to jest pogodna i zaspębia się na myśl, że „Matusia” tam w Krakowie bez niej. Zapytana, którą z książek swoich najlepiej lubi, bez wahania odpowiedziała „Dzieci p. Majstra” i „Zemstę Kasznura”, bo te książki umieją zawsze rozweselić Mamusię, gdy jest najsmutniejsza”. Po dwutygodniowym pobycie powraca do domu „sleepingem”. „Spałam dobrze, wagon był opalony, Matuskę zastałam już niestety bardzo zdenerwowaną, bo spodziewała się mnie ze wszystkich pociągów sobotnich; całą noc nie spała i dziś głowy dźwignąć nie może. Trzeba to będzie odrabiać długo”.

Nie danem jej było to odrobić. W tydzień po powrocie z Warszawy zapadła na ciężką gripę, która tak pogorszyła sprawę płucną, że wysoka gorączka nie opuściła jej już, aż dopiero na parę dni przed śmiercią.

D. 21 grudnia 1920 r. pisze. „Gorączkę wysoko i pomimo, że nie wstają nawet na kwandans, temperaturą nie chce się obniżyć. Bóg wie, jak to długo trwać będzie. Naturalnie odbija się to i na zdrowiu Matusi, bo nie mogę nad nią czuwać, jak należy, zmuszać Jej do jedzenia, zastrzykiwać arszenik i t. p. Przytem choroba moja przygnębia Ją i robi się z tego błędne koło, z którego niewiadomo jak wyrwać. I Ona gorzej znowu”. Mimo tego stanu zdrowia i niepokoju o Matkę, Rogoszówna pracuje jeszcze. „Przygotowuję dla p. Gustawa Wolffa „Piosenki Dziecięce”. Mam ich 30 —prześlicznych. Tekst ich częściowo mój, częściowo staropolski czy ludowy, tylko odpowiednio „spreparowany”. Chciałabym, żeby to naprawdę była piękna ksążka”.

Marzeniem jej było, aby ta praca ukazała się w artystycznym wydawnictwie,—na wzór angielskich klejnocików, ilustrowanych przez Rackhama. Taką ucztę artystyczną chciała wyprawić z Matką, Rogoszówna w ostatnich myślach, czepiając się tego świetlistego celu życia swego. Powraca też wtedy jeszcze do dawno pieśczonego w duszy zamiaru założenia pisma dla dzieci. Miało nosić

nazwę „Jaskółki”. Zapytana przez siostrę, dlaczego tak pismo chce nazwać,—powiada: „Widzisz, jaskółki gnieźdzą się pod dachem i strzechą, wszędzie, wszędzie w całej Polsce i przynoszą wieść wiosny. Otóż chciałabym, żeby moje pismo dzieciom miłość i ciepło serca mego głosiło”. Wiosna 1921 r. była wczesna i piękna. W końcu lutego szwagier przewozi chorą z Krakowa do Szczawnicy, do pensjonatu p. Szubertowej. Ciężkie było rozstanie dwóch śmiertelnie chorych kobiet, — tym razem już ostatnie.

D. 15-go kwietnia Józefa z Wilczyńskich Rogoszowa, wdowa po ś.p. Józefie Rogoszu powieściopisarzu i publicyście, opatrzona św. Sakramentami umiera w Krakowie. Spełnia się życzenie córki — Matka nie przeżyła jej.



Wszakże rodzina utrzymuje ją w złudzeniu, że zdrowie Matki się poprawia. Rogoszówna cieszy się tą wieścią i cieszy się ostatnią cudną wiosną swoją. Na kilka dni przed śmiercią następuje nagły spadek temperatury ciała i euforyczne pobudzenie życia. Chora staje po raz pierwszy i o własnych siłach chodzi w słońcu, po ogrodzie, otaczającym pensjonat. Po powrocie do swego pokoju pisze do siostry kartę pełną radości i wiary w wyzdrowienie. Nazajutrz d. 10-go maja, czesząc się rano, słabnie nagle. Śmiertelnie znurzone serce bić przestaje naraz i na zawsze. Odeszła lekko i pogodnie, po ciężkich smutkach i cierpieniach swoich, przeżywszy matkę o niecały miesiąc.

Pochowana została w Krakowie.

Zostawiła po sobie trwały ślad w literaturze dziecięcej. W duszach najbliższych—tak rzewne i świetlane piękno, że mimo przejmującego smutku jej życia i dotkliwego żalu, że jej już niema między nami,—miłość proennej jej duszy podnosi i krzepi tych, którzy z nią szli,—a pozostali,—żywąc tem, co ich z nią najistotniej związało: kultem potęgi i piękna człowieczego ducha,—twórczą mocą miłości i pracy,—a przedewszystkiem dziećmi i dla dzieci, — które ona — bezpośrednią, kobiecą intuicją najgłębiej odczuwała i rozumiała i którym oddała słoneczne, przytulne i wierne serce, oraz pracę życia. I. M

MARJA GROSSEK-KORYCKA

Ś W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

Natura stwarza okrutne dysharmonje. Umysły najprzeniklejsze wyczuwały dziwną jakąś bliskość miłości i śmierci, które jakgdyby przedzielała wątła tylko błonka?... Istotnie, wszystko mówi za tem, że plan taki był w pierwiastkowych zamierzeniach Natury: moment życiodajny miał się stawać momentem śmierci dla życiodawcy. Ale Natura w niektórych tylko okazach plan ten przeprowadziła.

Istnieje żyjątko, którego nie pamiętam ani nazwy ani szeregu klasyfikacyjnego, a którego samica, rodząca żywe, jest tak zbudowana, że ich nigdy urodzić nie może. Małe wydobywają się na świat, przegryzając brzuch żywej matki i pozostawiając rozplatanego jej trupa.

Los ten spotyka znowu samca pszczoły. Ślub dla niego jest momentem śmierci — z wysokości zawrotnych, gdzie złączenie się dokonywa, oblubieniec, spada na ziemię jako pusta zwłoka, z której wyrwane są jelita.— Oto są pomysły dramatyczne naszej Życiodawczyni.

Los kobiety nie jest więc jeszcze najgorszym... zajmuje miejsce pośre-

dnie. Ale kto wie, czy nauce nie uda się go polepszyć?

Kobieta dzika rodzi prawie tak szczęśliwie, jak zwierzę, — jestto prezydkiem bardzo pomyślnym.

Uczynić macierzyństwo kobiety funkcją fizjologiczną, nie patologiczną choćby nawet bolesną, ale nie chorobliwą — bez zaburzeń w zdrowiu poprzedzających i następujących, oto dla medycyny przyszłości zadanie wspaniałe!

Nie jestto bynajmniej cel utopijny. Medycyna porwa się na zadania równie trudne, a nawet trudniejsze. Są próby przywrócenia wzroku tam, gdzie zniszczone są oczy. Są świetne operacje chirurgiczne, które usuwaniem żołądka dowiodły, iż karmieniu mogą zadosyć uczynić same kiszki.

Miecznikow wydaje wojnę starości, walcząc ze zwapnieniem tętnic. Miecznikow uważa walkę ze śmiercią za coś, co wcale nie jest niemożliwym dla przyszłości, zważywszy, iż śmierć nie jest taką żelazną konsekwencją życia, za jaką była dotychczas uważana, skoro znamy już organizmy, mogące żyć nieograniczenie, do nieskończoności tak, jak przedmioty

martwe, dopóki ich jakaś zewnętrzna siła nie zniszczy mechanicznie. Śmierć jest dla nich tylko katastrofą.

Wobec tych i tym podobnych zamierzeń, któremi medycyna, jedna z największych chwał ludzkiego umysłu, wprawia nas w zachwyt i zdumienie, podarowanie ludzkości szczęśliwego macierzyństwa jest zadaniem stosunkowo skromnym, zadaniem świętem dla medycyny genjusza kobiety! Ciało ludzkie jest przytem nadzwyczajnie przeciw plastyczne. Plastyczność tę wyzyskiwało wszak średnowieczne dla wytwarzania potworków—czemużby nie skorzystała z niej nauka dla zagadnień życia i zdrowia.—Dziewczynka od lat jakich dwunastu powinna być wychowaną lekarką ginekologistki, być przedmiotem jej badań i zabiegów. Specyficzna gimnastyka, masaże i to wszystko, co w tym kierunku wynajdzie nauka, może kształtom dziewczynki nadać te proporcje i wymiary, kościom tę—elastyczność, a mięśniom prężność, jaką z niej zrobi łatwo rodzącą kobietę? Niejedna wada może być usunięta; z którą (nie wiedząc o niej) idzie się za męża i ściąga na siebie

tortury. Ja sędzę, że tego nikt nie dokona, tylko genjusz kobiecy. Nie zna tak dobrze ten, kto zna tylko od zewnątrz, jak ten, kto zna i od wewnątrz. Genjusz kobiecy powinien pracować w medycynie nad ulżeniem kobiecie *obarczenia fizjologicznego*. To będzie dopiero prawdziwa i skuteczna praca nad *wyzwoleniem kobiety*.

Ile razy widzę w tem „gniazdku latającym” jakim jest wózek, wysuwające się z muslinów i jedwabki dziejące o złotych piórkach, wiezione na spacer przez młode elegantki, myślę, coby zrobiła dzisiejsza matka studentka, urzędniczka, profesorka, gdyby musiała nieść do ogrodu maleństwo swoje na ręku tak, jak ongi my noszeni byliśmy—ale noszeni przez niańkę, której matka asystowała. Taka drobna rzecz, jak „wózek” — nie wynalazek żaden, tylko szczęśliwe zastosowanie, a jakaż ulga w domowym trudzie kobiety. Czem jest dziś zrobić na gazie herbatę, lub większy nawet posiłek, a czem to było dawniej, gdy trzeba było nastawiać samowar i rozpalać pod blachą?!.., Czem jest dzisiaj obsługiwanie pokoju przy lampach elektrycznych i centralnym ogrzewaniu, a dawniej, kiedy paliło się w piecach i świeciło lampy naftowe?

Wszystkie takie zastosowania dowcipne, nowe pomysły, sposoby ułatwienia i wręcz wynalazki powinny być usilnie prowokowane, zachęcane, nagradzane, skrzętnie podejmowane. Powinny zabrać głos w tej kwestji wszystkie nasze doświadczenia, wszystkie fachowe siły kobiece: techniczki i gospodynie, składać narady,

toczyć dyskusje. Powynniśmy się opodatkować i naznaczyć bogate premja za wynalazki w dziedzinie gospodarstwa domowego.

Medycyna może nam uczynić lżejszem obarczenie fizjologiczne.

Technika służbę domową.

Służba ta jest już dziś nieskończenie lżejszą od tego, co było obowiązkiem naszych prababek. Igła i druty nie wychodziły z ich rąk pracowitych. Z szyciem rzadko udawano się do krawca, trykotaże wyrabiał dom. Dom nietylko zajmował się wypiekaniem wszelkiego pieczywa, masarstwem, soleniem mięs, konserwowaniem owoców i jarzyn w ogromnych ilościach na zimę, w domu tkwały się płótna, wyrabiało mydło i świece. Mnóstwo tych gałęzi ongi domowego gospodarstwa przeszło już nie za naszej pamięci do przemysłu. Uprzemysłowieniu ich i rozmaitym udogodnieniom technicznym zawdzięcza kobieta, że dziś już może się zajmować swoją umysłową kulturą nie tylko magnatka: Otóż proces ten, wyzwalający od grubej roboty nasze wyższe siły, nietylko trzeba *regarder faire* i dobrodziejstwa jego *subir*, ale trzeba świadomie i energicznie podjąć. Mus zarobkowania zmusi nas wkrótce do uprzemysłowienia kuchni i prania. Tylko przemysł, co się tego podejmie, musi to robić inaczej, niż dotychczasowa restauracja i pralnia, bogacące się na naszej szkodzie; przemysł ten musi wziąć za interesowana dobrem własnych rodzin, solidarna, mądra, *organizacja kobieca*. „Kuchnia” nie może znajdować się w rękach prywatnych osób, ani instytucyj, gdyż prędzej, czy później stanie się środkiem wyzysku, dążącego do majątku. Zadaniu może odpowiedzieć tylko organizacja, złożona z sa-

mych zainteresowanych. Gotować i pracować powinni specjaliści, ale *zainteresowana dyżurna* musi robić zakupy i asystować w kuchni i pralni nieodstępnie. Miewaliśmy już nieraz „*kuchnie*”, cieszące się dobrą opinią, albowiem były przynajmniej znośne, ale już to było ich wadą główną, że dawały jeść na całe miasto w jednym miejscu. To wywołuje zbiegowisko, ścisk, stratę czasu i zdenerwowanie. Jeść prędko nie można i nie można daleko chodzić na obiad. Człowiek, który przyszedł odżywić się, powinien być obsługiwany natychmiast, jeść spokojnie i w dobrym powietrzu. *Maison Duval* w Paryżu (zdaje mi się instytucja pół-filantropijna t. j. poprzestająca tylko na zwrocie kosztów) karmiącą tanio, zdrowo i smacznie, co parę ulic otwiera swe filje. Badajmy urządzenia zagraniczne, które mają już wyrobione, gotowe wzory. Równolegle starajmy się o zaprowadzenie w domu tych wszystkich nowożytnych ulepszeń, które mi służą. Otóż proces ten, wyzwolający od grubej roboty nasze wyższe siły, nietylko trzeba *regarder faire* i dobrodziejstwa jego *subir*, ale trzeba świadomie i energicznie podjąć. Mus zarobkowania zmusi nas wkrótce do uprzemysłowienia kuchni i prania. Tylko przemysł, co się tego podejmie, musi to robić inaczej, niż dotychczasowa restauracja i pralnia, bogacące się na naszej szkodzie; przemysł ten musi wziąć za interesowana dobrem własnych rodzin, solidarna, mądra, *organizacja kobieca*. „Kuchnia” nie może znajdować się w rękach prywatnych osób, ani instytucyj, gdyż prędzej, czy później stanie się środkiem wyzysku, dążącego do majątku. Zadaniu może odpowiedzieć tylko organizacja, złożona z sa-

(c. d. n.)

ZOFJA ROZCISZEWSKA

Z CYKLU „MOJE DZIECIŃSTWO“

W dzieciństwie.

*Dach gontami pokryty—na gontach mchu festony
Kapryśne caprifolium, barwinek, bratki, bez...
Po ciepłych deszczach wiosny ogród był czysz-*

[czony,

Co kwadrans cienkim głosem bił zegar Louis-

[Seize —

Na ścianach, w starych ramach Pamiętniki

[Paska,

*Pojedynki, jarmarki i łowy z chartami,
Kontusze z wylotami, znajome z obrazka,*

W skrytkach biurka śpiewniki z białymi orłami.

I te krzyżki czarne, co widziały Powstanie,

A na nich święta cyfra: 63-cil...

Na fotografiach smutne w krenolinach panie

I ci dwaj, co na Sybir... „Ciszej, ciszej dziecił...”

Przyśniły mi się drzewa...

Przyśniły mi się drzewa ogrodu,

W moim kraju rzuconym za młodu...

Kora pachnąca wiosną,

Kora pokryta mchem,

Brzóz kora z białym tłem...

Przyśniły mi się drzewa, co tam daleko rosną...

I przyśnił mi się śmiały

Rysunek nagich gałęzi

Na tle zachodnich chmur

I kwiat blekołu biały —

A głosy wód i kwiatów, i gałęzi

Szeptaly i wołały,

Że dzieli nas bolesny mur,

Żem ptakiem na uwięzi!

W karecie.

*Jechałam karetą przez pola;
Na szybach był opar z mgły —
Księżyc aureola*

Złociła błękitne sny...

Widziałam ciebie tak żywo,

Za szybą twój głos się śmiał,

A konie z rozwianą grzywą

Po drodze wiozły mnie wcał...

Jechałam karetą sama,

Umarłe budziłam dni,

Nim jakaś zwarła się brama,

Nim jakieś zwarły się drzwi...

Za oknem był księżyc biały,

Za oknem ciche wsie spały,

Za oknem był kurz popielaty

I pola, i rowy, i chaty.

*Koło mnie byłeś... (prawdziwy?...)

Pamiętam tak blisko ciebie...

Ptak serca drżał tak płochliwy,

Wiatr pędził chmury po niebie...*

*Gdy konie staną przed gankiem

Na schodach usłyszę stąpanie

To powiem im niespodzianie:

„Widzicie, wracam z kochankiem!”*

*Gładziłam twe ciemne włosy,

Za oknem wiatr tańczył boży —

I całowałam cię długo —

Zanim nie zdradzisz mnie z drugą.*

*Żelazna zgrzytnęła brama,

Konie stanęły przed gankiem,

Lecz nie wróciłam z kochankiem

Z karety wysiadłam sama.*

On.

*W ziemię zapadły, jak brunatny grzyb,

Ściany miał pochyle—spróchniałe,

Tęczowe plamki na kwadracie szyb —

Po posadzkach małe nóżki biegały...

W dachu szczeliny,

Deszczowa zaciekała woda,

Niszcząc rysunki pajęczyny...*

*Przez mole pojedzone gobeliny,

W albumach krynolinowa moda...

Irysów liście ostre, jak ptaków skrzydła,

W sadzawce złote pyszczki ryb...

Wszystko było kolorowe, jak w bańce z mydła,

Słodkie - jak konfitury z wiśni.

Niewiarogodny sen odległy, co się raz w życiu

[przyśni.*

Kapelusik w kratki

*Jak dziś pamiętam ten kapelusik w kratki...

Uszyły go najmiłsze ręce mojej matki,

Był tak zabawnie malutki,

Tło granatowe, zielona krata,

I choć minęły już długie lata

I przyszły potem ogromne smutki,

Na zawsze mi się w pamięć wbił.

Lalka chowała go w pudełku swem

Co stało tam... pod ścianą,

A nakładała na spacer idąc rano...

Wszystko to dziś dalekim, zgasłym snem,

Lecz w jedno mocno wierzę i jedno dobrze wiem

Że nigdy moja dusza

Drugiego tak nie wspomni kapelusza...

Był malusieńki, jedwabny, w kratki,

A szyły go najśodsze ręce mojej matki.*

Jakby nigdy nie miało być lata.

*Jakby nigdy nie miało być lata;

Naokoło białe, bardzo białe,

A rybeńka złotopióra, skrzydłata

Pod sadzawki powłoką skostniałą

Wiedzie życie zakłętej księżniczki...

W sadzie wszystkie agresty, porzeczeki

Zapomniały w te grudniowe noce,

W te godziny mrozów i zamieci,

Że niedawno dźwigały owoce

Malowane zielono—czerwoną,

Jak zabawki na drzewku dla dzieci,

Co przy szklanych drzwiach stało salonu.

Jakby nigdy nie miało być lata

Nad polami w białym płaszczu wiatr lata.

Zaspy śniegu siwą brodą zamiatą...

Jakby nigdy nie miało być lata.

W oknie czarna, śpiżarniana krata.

Wszystkie pręty w cukier lodowały,

Jak w bajkowe ubrała sukienki,

Kryzy z tiulu im zawiązał szron cienki,

A na dachu błyszczą oczołów agaty,

Patrzą w księżyc mądre oczy sowy —

Bo bliźniutko—nad dachem niziutko

Stanął wielki księżyc bursztynowy,

W swoich oczu okrągłym topazie

Widzi własnej postaci odbicie,

Widzi wszystko w malutkim obrazie.*

4)

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

— Doprasam się łaski najjaśniejsza Komisyo! — wmieszał się chłopowina chuderlawy, czarny, trzymający się najbliższej komisarskiego stołu i choć czytać nie umiał, śledzący bacznie i podejrzliwie rękę pisarza, szastającą się z wprawą po urzędowych papierach, — jo powiem dokumentnie, jak było...

...to brat dziedzica, nieboscyk pon Janek, jak seł do powstania, tak zwołał nas syćkie i mówi: wolništa dzieci! pańszczyzny nijaki od dzisiaj robić nie bedzieta—pada —a ta ziemia, co na ni siedzieta, to je wasa!...

Mówił tonem oskarżycielskim; półgłupi, półchytry uśmiech wił mu się po wąskich wargach.

— A ucisku nijakiego nie było! — zabrzmiał znów ten sam huczny, nie-trzeźwy bas — ućciwy ślachcic beł, wspomógł cłeka, opatrzył, a w te cholere od chałupy do chałupy chodził, likarztwa nosił, pańskimi rękami —zwrócił się do gromady — kałduny wam rozciroł, a i te oto gnide zratował... — wskazał na głupawego oskarżyci.

— Juści prawda! — zwały się głosy. Moskał — demagog skrzywił się. W niepożądane dlań tony uderzyło to chłopstwo.

— Patisze—rzekł.

Ale przed stół komisarski cisnął się ów mały chłopowina.

— Doprasom się łaski, wielomozny komisarz!

— No gadaj, co wiesz...

— Prowda je, co nieboscyk dziedzic ziemie noma darował, ale najjaśniejsza komisyo, to nie było za darmol... — przymrużonemi oczami śmiał się chytrze wiejski—un chłopą głaskał, krzywdy nijaki nie ścierpiał, ale za to, wiadomo—do buntu namawiał, do bandów iść kazował!...

— A juści Cubek prawdę mówiom...

— I byłybyśwa syćkie posły! — huknął olbrzym z całej piersi—i byłoby tera inacy! wielmożny nacelnik by za tym stołem nie siedziol—mówił prawie groźnie, podsuwając się ku urzędnikom — ino ze bronii nie było tyle, co trza, a nawet i kosów!...

Zafrasował się, głos mu cichł załośliwie i umilkł.

— Cichajta Machałowski! Niech Cubek mówiom, kie wy macie w cubie!...

— Doprasom się łaski...

— No?! No?!

— Byłybyśwa posły najjaśniejsza komisyo; i bylibyśwa syćkie wyginęły!... Pełnym oburzenia wzrokiem powiół po urzędnikach i gromadzie.

— Auści że tak! A juści!

— J to byłaby szkoda! — mruknął komisarz i splunął.

Tak eksrewolucjonista budzi się niekiedy w czynowniku.

Ale nacelnik powiatu stanął natychmiast na wysokości politycz-

nego zadania chwili i tłumaczył już chłopom:

— Panowie, gospodarze, widzicie sami, jaka jest różnica! Szlachcicy obiecywali wam ziemie, ale za to oni was do buntu przeciw najjaśniejszemu panu podmawiali, do rozlewu krwi i do zguby! A najjaśniejszy pan oswobodziciel wasz jest! Daje on wam ziemię i nic od was nie żąda, bo on wie, że wy żyli w ucisku, w cierpieniu, a tak wy od niego teraz macie sprawiedliwość i łaskę. Tak wy wdzięczni być powinni najjaśniejszemu panu i Rosiji, ojczyźnie waszej...

Zabrakło mu oficjalnego natchnienia...

Z przerwy skorzystał Sokołowski.

— Proszę panów na śniadaniel Podnieśli się z nad map władcy kraju i z brzękiem ostróg szli do jadalni. Sokołowski przepijał, częstował, zapraszał...

Podczas śniadania nacelnik powiatu robił notatki, przypominał zeznania i opinie chłopów. Notatki te, przesłane na ręce Trepowa złożyły się wraz z wielu innymi na sformułowanie w umyśle policjanta-reformatora następującej opinii:

„Lud wiejski polski nie stanowi jeszcze niewzruszonego fundamentu władzy rosyjskiej w Polsce i sam jeszcze potrzebuje troskliwej opieki, obrony i podpory ze strony rządu“

Dając opiekę i podporę instynktom prawomyślności w ludzie, przyznano Czubkowi, co do którego okazało się, że jako chory kaleka dostał był od nieboszczyka dziedzica jedną izbę na mieszkanie w dworskim czworaku—izbę ową na własność. Zagon, który na odrobek brał corocznie, stał się również jego prawowitą własnością. Przyznano mu nadto serwitut w lesie!

W tym stylu szła cała działalność komisji w Gostkowie.

Sokołowski po paru dniach udrów przestał protestować. Widział, że go zrujnują, a gdy wyobraził sobie pięćdziesięciu chłopów, wjeżdżających z furami do lasu, włosy stawały mu na głowie.

A lud upojony, szaleńcem posiadania i tem znaczeniem, które w niego wmawiali, czynownicy pił po karczmach, wyzbywając się resztek ludzkiej duszy, urągał szlachcie i denuncjował. Zdawał się nawet wyrabiać w nim jakiś rodzaj carskiego patriotyzmu.

— Sander kochany!—ściskał pijany chłop arendarza—wis ty jucho, za co ja ciebie tak kocham?!... bo mos, ścirwo, takie imię, jak najjaśniejszy pon!—i walił się pod ławę.

Tak wyglądał ten świat carskiego dnia dla ludu polskiego.

ROZDZIAŁ III

„NACZALNIK UCZASTKA“

Majster dał w łeb chłopcu od miecha.

— Czego się, kundlu jeden, gapisz?! Psia parol!..

Chłopak uskoczył zręcznie na bok, unikając drugiego ciosu majstrowiej pięści, poczem zaśmiał się w głos, widząc, że pryncypał jego ledwo stoi na nogach.

— Cholera taka! Starszego nie uszanuje! Napił się dziś, Bogiem, a prawdą! Od samego rana tak go zamroczyło, że całkiem osłabiał i żeby do kuźni wcale nie poszedł, żeby nie ten lyk gorzaliny jeden z drugim. A takie mu się coś przez całą noc śniło... majaczyło... Senmara... A takie było wyraźne, jakby własnymi oczami na to patrzył.

— Takie coś, że nawet powie dzieć komu—strach!

...niby wyszedł przed kuźnię, patrzy niby na drogę od Białej, oczy ręką zasłonił, bo blaski szły na ziemię, patrzy, a tu drogą jadą... nasi!... jużci, że nasi! partja sobie jedzie pięknie, z muzyką... konnica sama... stają niby przed karczmą, a pan Grabowski woła: Hej, kowala! podsuwa się majster, kłania nisko, a ten:

— No, bracie, przybijżeż mi podkowę!..

Skoczył duchem do kuźni, nie sie podkowę, przybija, a pan Grabowski mówi jeszcze:

— Spieszcie się, ojczu, bo wraz z Moskalem ruszmy! — i daje mu zło-

tego półimperjała... ale majster—ręce w tył! powiada:

— Jakem Kowalski, kowal z dziada pradziada despektu tego nie zniosę! Niechże to honor będzie dla mnie, a to złoto—na potrzeby kraju!

Sam się zdziwił, że mu się tak gładko wymówiło, a pan Grabowski rzekł tylko:

— Bóg zapłać!

Rękę podniósł do czapki — pojechali..

Stary po tym śnie od tego czasu opamiętać się nie może. Gorzałka rozebrała go jeszcze bardziej. Młotem wali, a wciąż mu się zdaje, że słyszy tętent powstańczej konnicy, to znów, że pan Grabowski mówi: A śpiesz się, ojczu! — albo on mu odpowiada... i tak w kółko, w kółko... Czary, czy co?!

Rzucił młot, wyszedł przed kuźnię, poglądnął dokoła... mglisto było a jasno, bo słońce przebijało przez chmurę, jak uśmiech przez łzy i rzucało promienie złota na łąki, na pola... Cicho, smętnie, świetliście naokół..

Majster spojrzał ku słońcu.

— Takeś się, psiamac, wdzięczyło i wtedy!—mruknął, jakby słońce czyniąc odpowiedzialnym za wypadki, potem znów patrzył na drogę.

W tumanie kurzu widać było zbliżających się jeźdźców, ale jakby na przekór staremu i jego snom był to Gołołobow z kozakami. „Naczalnik uczestka“ jechał na rewizję do sąsiedniej Olszanki, a był zły. Popsuła mu humor ostatnia bytność w Gostkowie, Sokołowska kazała mu po prostu pójść precz, a choć on sam był już miłośką tą znudzony i o zerwaniu zamyślał, to jednak opór ze strony kobiety, jej wzgardliwe tony czyniły mu ją znów tak pożądaną, jak w pierwszych dniach stosunku. Wyjechał wściekły. Żeby tak inna... poczułaby ostrogi jego butów na twarzyl!. Z tą nie śmiał... Im dalej brnął w ten romans, tem bardziej imponowała mu... i to doprowadzało go do wściekłości.

Stanąwszy przed kuźnią, Gołołobow po rosyjsku zaczął wołać na kowala, żeby mu okuł konia. Kowalski, aż oczy wytrzeszczył: niby wszystko tak, jak we śnie... a nie tak!..

Oprzytomniawszy, poskoczył do kuźni po młot i hufnale. Gołołobow tymczasem zsiadł z konia. Kowalowi, czy to jeszcze pod wrażeniem mar sennych, czy na skutek kilku łyków gorzałki naczczu, robota nie szła... ręce latały staremu...

Nie takiemu ja naczelnikowi w nocy konia kuł... majaczyło mu po głowie.

Gołołobow się niecierpliwił, aż wybuchnął nagłym paroksyzmem wściekłości.

— Skatina! — wrzasnął i przyskoczywszy do schyłego starca, kopnął go w bok końcem buta.

Kowal zatoczył się, wyprostował, spojrzał krwawymi oczami i w tej chwili nagłym, niespodziewanym ruchem wywinął młotem w powietrzu i grzmotnął nim Moskala w sam środek piersi.

Gołołobow jęknął i padł na ziemię.

Było to wszystko czemś tak niespodziewanem, że nawet obecni tam kozacy nie wiedzieli dobrze, co się stało. Podoficer skoczył na ratunek naczelnikowi, ten jednak wpierw już zerwał się i wyrzucając krew ustami, począł wołać chrapliwym głosem.

— Wziat'jewo!

Kozacy rzucili się na Kowalskiego. Gołołobow tymczasem otrzepywał mundur i z trudem niejaki siadał na konia. Błady był, ale spokojny, oczy tylko świeciły mu wilczym blaskiem. Skinął na podoficera.

— Bić, poki przestać nie każe!

Ruszył, a za nim kozacy.

Czterech tylko z podoficerem na czele i kowalem pośrodku, zawróciło ku kwaterze naczelnika. Kowalski dał się prowadzić jak jagnię cichę na rzeź.

Zawlekli go do koszar i kazali położyć się. Nie stawiał im oporu... Czy odszedł go gniew, czy strach obezwładnił, czy pijacka jakaś rezygnacja nań przyszła?... Przeżegnał się tylko i dobrowolnie położył. Jeden kozak uchwycił go za głowę drugi za nogi. Dwuch w przętami w rękach stanęło po bokach gotowi do egzekucji... Podoficer skomenderował... świsnęły różgi... stary jęknął głucho... i odtąd następowały po sobie świst i jęk na przemiany. Kozakom zapaliły się oczy. Bili z amatorstwem. Po kilkunastu uderzeniach kwew bryzgać zaczęła katom na twarze. Spojrzeli pytająco na podoficera... ten wzruszył ramionami... nie było rozkazu, żeby przestać... Kozacy bili dalej, ale już z mniejszym impetem. Krew bryzgała wciąż i dały się słyszeć słowa: Jezus! Jezus! Miłosierny!

Kozacy znów spojrzeli po sobie... Podoficera nie było... wyszedł zobaczyć, czy od naczelnika nie jedzie kto z rozkazem...

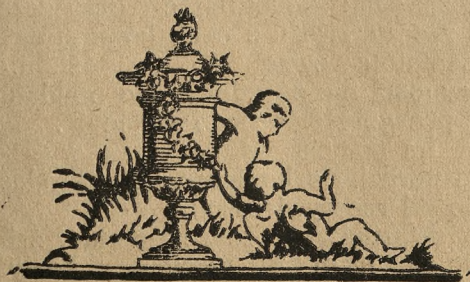
Trwało to długo...

Bity człowiek cichł tymczasem... cichł... jeszcze tylko z gardła dobywało się ciche rżenie, wreszcie ucichł zupełnie, tylko ciało rzucało się trochę... potem znieruchomiał...

— Baczyw ty!... staryk nie żywiot..

Odrzucili różgi.

Wszedł podoficer, spojrzał, zrozumiał i nie nalegał, żeby bito dalej.



3)

O EDWARDZIE ABRAMOWSKIM

Skoro człowiek stwarza zjawiska, więc musi w nim być coś, co samo zjawiskiem nie jest, jak twórca nie jest dziełem, które stworzył, choć przekazuje mu coś z siebie. W istocie rzeczy. W niedocieczonej głębi ludzkiej duszy jest tajemnicze miejsce, które usprawiedliwia istnienie dwoistego charakteru zjawisk społecznych i dwoistej metody socjalizmu. Tam w głębi duszy rodzi się myśl, która uspołecznia zjawiska, i tam jest miejsce zarazem na dowolność etyczną, na ideały i celowe dążenia.

To, że myśl ludzka jest rodzi-cielką zjawisk społecznych, nadaje im ten odrębny charakter, o jakim wspominałam na początku.

Weźmy np. istniejący gdzieś w danym miejscu skarb; nie jest on zjawiskiem społecznym. Jest zjawiskiem fizycznym. Stanie się zjawiskiem społecznym dopiero, gdy będzie przedmiotem naszego pożądanego, naszej potrzeby, więc naszej myśli, gdy się uduchowi.

Tak samo smutek nasz z powodu, że np. nie mamy się za co leczyć, nie jest zjawiskiem społecznym. Jest zjawiskiem psychicznym. Dopiero gdy pod wpływem naszej myśli i woli, przekształci się w instytucję Kasy Chorych np., mamy zjawisko społeczne rzeczowe.

Widzimy więc, że zjawiska społeczne są to zjawiska i fizyczne i psychiczne, które jednak przestały być jednym i drugim. Dotknęła je myśl ludzka i przemieniła w nową rzecz, w rzecz społeczną.

Lecz w takim ujęciu zjawiska społeczne jest znowu jakby sprzeczność.

Bo każde zjawisko nabiera wtedy dwojakiego charakteru; jest jednocześnie przeżyciem naszej duszy—więc zjawiskiem psychicznym, i rzeczą odrębną od nas, przedmiotem, instytucją—która nieraz wywiera na nas swój przedmiotowy, czasem tyrański nacisk.

Ten właśnie podwójny charakter zjawiska społecznego, wynika z samej natury jego powstania.

Podobnie jak dziecko w stosunku do świata istnieje, jak odrębna, obiektywna działająca istota, a w stosunku do matki jest zawsze tylko dzieckiem, odzwierciedleniem jej osobistych marzeń, radości i nadziei—tak zjawisko społeczne ma dwa oblicza, jednym obiektywnym, rzeczowym zwraca się na zewnątrz do mas, drugim intuicyjnym i poufnym, komunikuje się z sumieniem, z potrzebami każdego z nas.

I tylko każdego z nas. Niema żadnej metafizycznej duszy zbiorowej. Życie społeczne jest sprawą żywych, konkretnych ludzi.

Później Abramowski pogłębił tę swoją teorię zjawiska społecznego.

Na mocy swych studjów psychologicznych stwierdził, że zjawisko społeczne zawiera w sobie ontologiczną, substancjalną część istoty bytu i świata—jakby część ideału, do którego dążymy.

W takim razie to intymne, osobiste oblicze każdego faktu społecznego, byłoby komunikowaniem się duszy ludzkiej z duszą świata i rzeczy. Tworzenie zjawisk społecznych byłoby częścią naszego *spółdziałania z duszą świata—z Bogiem*.

Mimo wszystko jednak, trudno nie uznać, iż choć początkiem zjawisk społecznych jest indywidualna jaźń każdego z nas—to między indywidualnymi stanami psychicznymi, a ich obliczem społecznym istnieje jakby stosunek elementów do syntezy. Przez to narzuca się jakby odrzucone pojęcie duszy zbiorowej.

I w tej sprzeczności Abramowski znajdzie rozwiązanie kwestji. Bo jeśli zjawisko społeczne jest zarazem i syntezą świadomości indywidualnych i wyklucza z siebie dla nas—wszelką obcą naszej świadomości, to dla tego, że owa „świadomość społeczna” jest niczem innym, jak tylko naszą świadomością indywidualną.

Zjawisko społeczne jest tą rzeczą, w której objawia się tożsamość ludzi między sobą, jedność istoty ludzkiej.

* * *

Stwierdzenie, że źródłem zjawisk społecznych są żywi ludzie, w których istnieje nie tylko myśl — ale i głęboki podziemny nurt życia podświadomego, nie podlegający wyrozumowanej przyczynowości — nakłada na wszystkich tych, co chcą przebudować stosunki społeczne, surowe obowiązki.

Tak samo jak badać zjawiska społeczne, można tylko w *stosunku do człowieka* — tak i przekształcać życie społeczne należy, nie wyłącznie na drodze przeprowadzania wniosków, wynikających z rozumowego badania jego przyczynowości, ale na drodze uwzględniania lub wytwarzania rzeczywistych potrzeb wśród żywych ludzi.

Rozumowanie znakomicie pomaga nam do poznania, a nawet czasem do przekształcenia rzeczywistości, *lecz samo rzeczywistością nie jest*.

Należy pamiętać że pojęcia wyrozumowane nie mogą się tworzyć inaczej, jak uogólniając i oczyszczając rzeczywistość z cech konkretnych. Przedmioty życia w ich różnolitej barwności nie są zdolne do poddania się prawom logicznego myślenia.

Im pojęcia naukowe są wyższe, tym bardziej z konieczności są oddalone od rzeczywistości.

Wystarczy o tem pamiętać, żeby móc się nimi posługiwać z korzyścią i nie popaść w niebezpieczną władzę doktryny i dogmatu.

Lub idąc za myślą Abramowskiego psychologa, możemy jeszcze powiedzieć, że pojęcia naukowe i wogóle wyrozumowane zawierają ślad istotnego rzeczywistego życia, i właśnie tego drobnego śladu nie wolno nigdy zapomnieć, jeśli nie chcemy stać się pastwą złudzenia, które nam każe brać *wytwory naszego umysłu*, za wytwory życia. Bo wtedy gotowi jesteśmy zaprzeczać faktom, które się dzieją na świecie, dlatego, że nasze rozumowanie ich nie przewidziało. Tymczasem przedmiotem życia społecznego nie są doktryny, nie są dogmaty, a żywi ludzie z nieskończoną różnorodnością ich potrzeb. Teorie nie mogą stwarzać i urabiać życia, Przeciwnie, to życie jest twórcą teorii. Biada nieszczęśliwym ludziom, gdy działacze społeczni chcą odwrócić te role.

Taki stosunek do spraw przebudowy życia społecznego, musiał skłonić Abramowskiego do niezwykłej wnikliwej krytyki ortodoksalnego socjalizmu, trzymającego się uporczywie doktryny rewolucji socjalnej, dyktatury proletariatu i państwa socjalistycznego.

Według Abramowskiego przyszłość świata nie idzie wogóle w kierunku nadmiernego rozwoju państwowości. — Ustrój społeczeństw, oparty na przymusie państwowym jest wynikiem wybudowania teoretycznego, rozumowego stosunku do życia.

Ten pogląd Abramowskiego zdaje się być potwierdzony przez fakt, że największy rozwój idei państwowości mamy w wieku oświecenia, w wieku panowania oschłego encyklopedyzmu.

Ideały, których nosicielem jest socjalizm w rozumieniu Abramowskiego, wyrażają się w głębokiej zasadniczej przebudowie etyki osobistej człowieka, w daniu następnie ludziom swobody rozwoju indywidualnego — tak żeby życie było jak najbogatsze, jak najwspanialsze, jak najwięcej barwne, żeby swobodnie mógł się ujawnić wzór idealny życia jaki każdy z nas nosi w sobie.

Tego wszystkiego nie da się uzyskać zapomocą opatrnościowej roli państwa socjalistycznego. Przymus państwowy nie może bowiem wywołać ani zasadniczej przebudowy etyki ludzkiej, ani rozszerzyć wolności ludzi, która jest ledwo zaczęta, ani też popierać i wywoływać różnorodnej bujności życia.

Przeciwnie państwo strychuje indywidualności, narzuca różnym mniejszościom jeden wspólny wzór życia i przestrzega policyjnie, by się do niego stosowano. — Fakty te istnieją w ustrojach państwowych niezależnie od jego dobrych stron.

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

Pieczołowita dobroć młodej kobiety nie ogranicza się tylko garstki towarzysów męża, obejmuje ona ciepłem, ludzkim współczuciem nawet prostych zbrodniarzy, widząc ich wielką, nieraz może niezasłużoną niedolę. Dla jakiegoś tataru sprowadza koran, dla żyda z Białej Cerkwi biblię. Umie wnikać w ich duchowe potrzeby, poza okropną, rzucającą się w oczy nędzą.

Siadając naprzeciwko okien więzienia patrzyła na katorżników, wychodzących z ostrogu po wodę lub drzewo, w łachmanach mimo mrozu — bez bielizny. „Dręczyło mnie to niezmiernie — mówi. Obłatawszy swoich, zaczęła szyc koszule dla tych nieszczęśników. Napadł na nią ostro Burnaszew: „Pani niema prawa ubierać ludzi którzy są na koszczie rządu! — W takim razie niech ich pan ubierze, bo nie przywykłam patrzeć na ludzi w półnagich — odparła księżna, zawsze harda wobec, „smotrytiela” czasem jednak rozbijająca go tem, że zawsze, jak mówił była, „szczera, jak dziecko“.

Zapamiętała jednak złośliwy błysk jego oczu i słowa: „pani chce zbuntować katorżników!”

Przypomniała je później wobec przygody, która mogła mieć fatalne skutki.

W pobliżu chaty gdzie mieszkały obie księżne (Aleksandra Murawiewa była w Czycie) stała turma, w której trzymano, w srogim zamknięciu najcięższych zbrodniarzy. Między nimi był sławny rozbójnik Orłow, znany z tego, że napadał tylko na bogaczy a czynowników co mu wpadli w ręce wychłostać kazał. Miał on cudny głos i złożył z towarzyszy swoich chór, śpiewający wieczorne pieśni, tchnące nieskończoną żalnością. Lubiła się im przysłuchiwać ks. Marja; wspomagała czasem nędzarzy jałmużną. Pewnego dnia na przechadze zbliżył się do niej katorżnik, były huzar i poprosił, cichym głosem, o wsparcie dla Orłowa który uciekł i ukrywa na skałach ponad domkiem, gdzie mieszka księżna. Żimno mu jest, a nie ma sobie za co kupić kozucha.

Panią Marję ogarnął lęk. Ale jakże nie pomóc „nieszczęsnemu“?!

W jakiś czas później, gdy ciemnym już wieczorem siedziała w izdebce swojej sama jedna za klawikordem — wszedł jakiś człowiek wysokiego wzrostu i ukląkł przy drzwiach. Był to Orłow, w kozuchu kupionym za pieniądze księżnej i dwoma nożami za pasem, prosił znów o wsparcie — „Bóg to wam wynagrodzi, księżniako!” — Wołkońska dała mu pięć rubli. Trubecka, nadszedłszy później, bardzo się zaniepokoiła tą wizytą, nie mogły obie usnąć długo w noc. Nagle usłyszały wystrzał. Była to obława na Orłowa. Nie

schwymano go jednak, natomiast pojmano innych zbiegów, z którymi rozbójnik za pieniądze otrzymane od księżnej urządził sobie pijatykę. Na drugi dzień bito ich różgami, aby wydobyc zeznania, kto im dał pieniądze? Nikt nie zdradził księżnej, przeciwnie ów był huzar sam się oskarżył o kradzież, aby odwrócić od niej wszelkie podejrzenie. — „Co za skarby wdzięczności i przywiązania w tych ludziach, których mi jako wyrzutek przedstawiono!” — (Zapiski).

Dobroczynność księżnej miała tem więcej ceny, że ona sama musiała nieraz walczyć z gorzkim niedostatkiem. Wprawdzie ks. Wołkoński przed swoją „cywilną śmiercią” w Petropawłowskiej twierdzy zrobił testament, zapisując majątek synowi, a księżna, jako wdowa, miała prawo do posagu i do 7-mej części majątku męża.

Zrazu pozwolono księżnej otrzymywać ze swoich pieniędzy 3000 rb. na rok. Potem „najwyższa wola” cesarza ograniczyła tę sumę do dwóch tysięcy. Wystarczyłoby to na życie, ale przesyłki przychodziły bardzo nieakuratnie i szły do rąk gubernatora — a ten wydzieliał z trudnością, żądając wyliczenia się z każdego grosza wydatku przed komendantem w Nerczyńsku.

W tym celu jeździły tam od czasu do czasu obie panie konno, na małych, górskich konikach, budząc podziw Burjatów — a czasem wozem, wracając na wózkach z mąką, zawsze jednak starannie ubrane, w woalce, w rękawiczkach, zawsze „damy”, zawsze głowa do góry, ku podziwowi posępnego „naczelstwa”. Pop, u którego się spowiadały był dobrym, ale bardzo prostym człowiekiem poczmistrz napędził im strachu, chcąc po pijanemu, na Wielkanoc, ucałować młode kobiety.

Z mieszańcami nie wolno im było rozmawiać, przechodnie musieli się odsuwać, spotykając na ulicy żony „przestępców”. Jedyne dzieci garnęły się do księżnej i z zachwytem słuchały, gdy im opowiadała ustępy z Historji Świętej.

Z nadejściem wiosny skończyła się największa udręka: przeraźliwe mrozy. „Och! ile mi zdrowia one zabrały!” westchnie kiedyś Wołkońska. Nastąpiła za to inna plaga: robactwo. Wracając z więzienia, panie nie mogły się otrząpać od pluskiew. Takie były ich rozrywki *)

*) Hr. Melchior de Vogue, słynny krytyk francuski i znawca literatury rosyjskiej, omawiając poemat Niekrasowa uważa, że poeta tendencyjnie chce ukuć ze swej poezji oręż przeciw carowi Mikołajowi. „Ani dekabryści nie pracowali pod ziemią — twierdzi on ze wspaniałym tupetem — ani żony ich nie

Chodziły czasem na spacer, ale jedynym zakrzewionem miejscem w pustej okolicy był cmentarz wiejski, tam zaś prześladowała je straszliwie smutna myśl: Czy i nas tu pochowają?

Tymczasem, w lecie 27-go roku, nadeszła wiadomość, że dekabrystów wszystkich połączą w Czycie: wielkiej więziennej wsi, a przeprowadzka nastąpi we wrześniu. Obie panie kupiły wóz i pojechały przodem. Rade opuszczały ponury Błagodack. Zostawiały za sobą, zwycięsko przetrwany, najcięższy okres wygnańczego bytowania: dwa młodzieńskie stworzenia, rzucone same pomiędzy dzikich zbrodniarzy i czynowniczą hołotę.

Z głębin kopalni unosiły jedyne jasne wspomnienie: współczucie — rozbójników.

Aleksandra Murawiewowa powitała z radością przybyłe i pokazała im zaraz, z okna swego mieszkania, przechadzających się po dziedzińcu turmy więźniów. Było tam około stu ludzi, między które księżne poznawały dawnych znajomych: młodego ks. Odojewskiego, braci Bestużewych, „niezłomnego” Łunina. Zgromadzono tu prawie wszystkich dekabrystów. Władzę nad nimi sprawował stary generał Leparski, z pochodzenia polak podobno, (Stanisław Romanowicz!) na szczęście człowiek uczciwy i zacny, którego imię dobrze zapisało się w pamięci dekabrystów, zwłaszcza w porównaniu z innymi komendantami. Był on co prawda bardzo ostrożny, ta przezorność mogła się wydawać tchórzostwem i sprowadzała czasem uśmiech ironji na usta dumnej kobiety, ale inaczej nie byłby się utrzymał na swem stanowisku. Przy nim odpadała przynajmniej obawa jakiegoś umyślnego znęcania się. I tak warunki życia były przykre: w ciasnych i ciemnych koszarach, w tłoku i zaduchu, wśród ogłuszającego brzęku łańcuchów męczyli się ludzie, których większość miała już zdrowie zrujnowane, byli suchotnicy, byli chorzy na skorbut. W pobliżu Czyty nie było kopalń, o czem nie wiedziano w Petersburgu, gdy wydawano rozkaz osiedlenia tam dekabrystów, więc musiano im wymyślać „ciężkie roboty”. Zrazu czyścili rządowe stajnie i obory: „istne stajnie Augjasza”, potem zamiatali ulice, wreszcie mełli w żarnach zboże.

(c. d. n.)

K. Bielańska

cierpiał niedostatku. „Panie ta” — pisze dosłownie — znalazły nad Leną (!) komfort wykwińskiego życia i rozrywki światowe, do których były przyzwyczajone. (Regards historiques et litteraires str. 282)

Pyszny jest ten „komfort” nad Leną, jak i geografia francuskiego pisarza, każące go płynąć tej rzece — pod Nerczyńskiem.

KARTKI WŁOSKIE

Jedno z poetycznych złudzeń powiada: *Vedér Nàpoli e poi morire*. Wolny przekład brzmiałby w ten sposób „Warto jednakże zobaczyć Neapol przed śmiercią”.

Albo inaczej: rozkoszą jest patrzeć z oddalenia na perspektywę Neapolu, piętrzącego się tarasami na wzgórzu i zamkniętego jak kłamarą z lapis lazuli błękitem półkolistej zatoki, lecz mniej rozkosznie jest mieszkac w mieście wśród labiryntu płaczących się wązkich, ciemnych i zatechłych uliczek zwanych „vico” zwłaszcza w porze tropikalnych upałów, gdy żar słoneczny kapie niby kroplami roztopionego ołowiu. Z wyjątkiem dwóch bardzo pięknych ulic, biegnących wzdłuż zatoki, pełnych willi i egzotycznych roślin *via Chiaia* i *Caracciola* — Neapol zabudowany gęsto, ścieśniony, stłoczony robi wrażenie naczynia, które rozsada zawartość. Wielka fala ludzka spływa z chodników za środek ulicy, wpląta między autobusy, dorożki, rowery, które literalnie wjeżdżają ludziom na głowę. Ruch kołowy wielki, bez porównania większy jak u nas i ryk syren samochodowych ostry, chrapliwy, nie milknący na chwilę jest bardzo lichym przyspiewem do sennej melodii, którą morze cierpliwie wygrywa.

Neapolis (nowe miasto) jest jednym z najstarszych miast Europy. — Początki jego sięgają 11 go wieku przed Chrystusem, a założenie przypisywane jest Eolczykowi, którzy w swoich podróżach morskich upodobali sobie ten uroczy zakątek i zbudowali tu osadę. — Miał się on nazywać Partenope na cześć i podobieństwo pięknej Syreny, zamieszkującej fale morskie, gdyż tak jak ona wynurzał się z odmętów.

Na Neapol musimy patrzeć podwójnym wzrokiem, terażniejszości, która nadaje mu aktualne piętno wybitnie handlowego miasta i wzrokiem antycznej przeszłości wpatrzony w cienie słonecznych Hellenów, zwycięskich Rzymian i barbarzyńskich hord Gotów i Wandalów. Jako miasto reminiscencji antycznych, Neapol posiada precudne pomniki, starożytne zwaliska i ruiny, które pozwalają czytać w jego bogatej i pięknej przeszłości. Wogóle całe Włochy to legenda wiecznie odradzającej się kultury. Coś tkwi w tej słonecznej ziemi, jakiś rdzeń niezniszczalny, który ścięty przy ziemi, odkwita od wewnątrz coraz innej barwy i woni. Ot i teraz! Przed trzema laty Włochy pławiły się w krwi bratniej, po ulicach Neapolu lała się ona strumieniem, zdawało się kraj leci w przepaść, aż nagle jedno silne ramię zahamowało anarchję, prawo stanęło mocno i szarpać siebie nie pozwoli. — Konstrukcyjny zmysł Italji odniósł nowe zwycięstwo.

Neapol to miasto nawskroś demokratyczne. Wszzechwładnym panem ulicy jest tłum, którego wartka fala

wchłania w siebie inne pierwiastki — pokorna inteligencja i tutaj schowana po kątach, a tłum panuje. Widać go nie tylko na ulicy, ale w dorożkach, tramwajach, winiarniach, kinach i niektórych teatrach, rozpychający się szumnie, politykujący, gestykulujący, krzykliwy i... niezwykle sympatyczny. Nigdzie nie spotkałam takiej usłużności i grzeczności, płynącej nie z wychowania, a z natury, jak u Włochów, a szczególnie Neapolitańczyków, gdy zauważą, że cudzoziemiec interesuje się ich krajem i sztuką lub nawet poprostu potrzebuje jakiejś informacji — z całą kurtuazją dają mu objaśnienia, tłumaczą, pokazują, a nawet bezinteresownie oprowadzają. — A czynią to tak serdecznie i ujmująco, że chwytają tem za serce, szczególnie nas polaków, którzy mamy z nimi dużo cech wspólnych.

Włoch kocha swoją ojczyznę ślepo i zapamiętałe z całą furją południowca, zna wartość jej wielkiej, potężnej kultury i nie pozwala, aby mu w jego dziedzictwa padały kamienie hańby i obrazy nie tylko obcych ale i swoich.

Neapol rozrasta się bardzo i dziś jest to największe miasto we Włoszech, a jutro mieć będzie przed sobą jeszcze szersze perspektywy. — Mussolini zatwierdził budowę portu, co wzmocni handlowy charakter miasta i wkupi je do rodziny portów, mających wszechświatowe znaczenie. Już dziś należy Neapol do najwięcej ruchliwych, cechuje go pośpiech, krętani, gwar i bardzo szybki, gorący puls życia, nie wykluczający jednak leniwości i lubowania się w *dolce far niente*, którą w pewnych formach uprawiają wszyscy bez wyjątku mieszkańcy Neapolu. Niema prawie ulicy, gdzieby co kilka kroków nie spotkało się rozstawionych stolików i przy szklance wina lub piwa gwarzących gromad mężczyzn, kobiet nawet dzieci.

Prawda, że trudno tutaj znaleźć gdziekolwiek odpoczynek i schronienie przed upałem. — Neapol pozbawiony jest prawie zupełnie ogrodów, zieleności, ma tylko: „Villa Nazionale”, która właściwie nie jest parkiem ani ogrodem, ale długą, piękną aleją, biegnącą wzdłuż morza, powiewają tam pióropusze wysmukłych palm, z uśmiechem wiekuistej pogody patrzą posągi nie znających śmierci bóstw. Ale trawa wyschła i szcerniała kona z pragnienia, nigdzie nie śmieją się żywe barwy kwiatów (chyba w prywatnych ogrodach), a wszystko niby popiołem przesypane białym pyłem, który kłębi się pod nogami i w tumanach wzbija w górę. Domy jasne, jednego typu, z oknami o zielonych żaluzjach i maluškimi balkonami o białych prętkach robią wrażenie klatek, w których mieszka szczęśliwe ptactwo świata.

Ale największym czarem Neapolu są jego widoki i prześliczne perspektywy. Z Vomero, najwyższej położonej dzielnicy szeroki widok, na ma-

jaczące zdali kontury Ischii i czarownej Capri, na Wezuwjuś, niewinnie spowity w różowe chmurki, a knujący wieczną zdradę, i na to morze senne, o którym słowami Mickiewicza można powiedzieć „że gra cichemi piersiami”.

Ale i dojazd z morza do portu zostawia wrażenie niezatartej bajkowej fantasmagorii w dzień słonecznej i barwnie kolorowej, a w nocy przy świetle księżyca, roztrząsającego nad światem swoją srebrną siatkę — wprost zjawiskowe.

A może to się śni?...

Halna C. Wilczyńska.

WYSTAWA „RYTMU”

SALON GARLIŃSKIEGO

maj-czerwiec 1924 r.

Po długim panowaniu w plastyce zasady „tak, jak widzę”, t. j.: tego swoistego realizmu, który wyszedł z barokowego ujmowania zjawiska, jako ruchu i światła i skończył się impresjonizmem, dającym rzeczywistość, rozbitą na dźwięki barwne, o różnej skali i natężeniu, — wchodzimy w epokę malarstwa pod znakiem „jak ja to sobie wyobrażam”, albo: jak przeżywałem w mem wewnętrzny widzenie. Zjawisko obiektywne, zewnętrzne, staje się w tym wypadku jedynie punktem wyjścia, bodźcem, objawem jakiegoś szczególnego, artystycznego spojrzenia, początkiem plastycznej bajki, której własne, tajemnicze życie daje artysta, przenosząc na płótno to, jak w pewnej chwili ujrzał i dokomponował dany, zewnętrzny fragment rzeczywistości.

Napróżnoby tu szukać jakiegoś ogólnie obowiązującego przeciętnego kryterjum widzenia; napróżno widz będzie oczekiwał, by obraz mu dał potwierdzenie jego własnych spostrzeżeń, jak to czyni fotografia, lub do pewnego stopnia impresjonistycznie ujęty portret, czy też krajobraz (wyklinany i oplwany za czasów Podkowińskiego przez publiczność, impresjonizm jest dziś dla niej spokojną, zaciszną i prawie już zawsze uznawaną przystanią dla wzroku, z którą się opatrzyła i pogodziła).

Rzeczy nowe w malarstwie rodzą się dziś wcześniej, niż następuje przemiana w upodobaniach estetycznych odwiedzającego wystawy ogółu. Stąd samotne apostołstwo z jednej strony i urągliwa obojętność z drugiej. Dodajmy jeszcze luźny związek, istniejący pomiędzy społeczeństwem i sztuką; rolę „zbytku”, jaką jej ono wyznacza przy równoczesnym protekcyjnym „popieraniu” owej „zbyteczności” przez pseudo-mecenasów, — a otrzymamy tło, na którym przeniesienie się wystawy „Rytmu” do salonu Garlińskiego po parudniowym pobycie w zachęcie — staje się symbolicznym wydarzeniem. Autorowie kilkudziesięciu prac, przynoszących zaszczyt współ-

czesnej sztuce polskiej, na znak protestu przeciw majoryzującej artystów ignorancji „mecenatów - miłośników“ ustępują z dużego gmachu Zachęty do małego, prywatnego salonu sztuki. *)

Przechodząc do samej wystawy „Rytmu“ nasuwa się uwaga, że wśród nowej sztuki: kubizmu, ekspresjonizmu, futuryzmu i t. d. grupa tych artystów zajmuje stanowisko odrębne i zdawać by się mogło mało rewolucyjne. Obrazy ich nie wymagają szczególniejszego „nastawienia“ wzrokowego, czy też intelektualnego od widzów, — nie są rebusami, — nie deformują w „krzyżący“ sposób rzeczywistości, nie rozszarpują jej na fragmenty —; działają spokojnie, harmonijnie ujętą kompozycją, wielkim umiarem, winogronową dojrzałością, powagą, — piękną, płynną linią, rytmiką barw — wreszcie pogodą, co wszystko razem czyni je w pewnej mierze klasycznymi i renesansowymi.

A jednak! Przeciętny inteligent, przyzwyczajony do krajobrazów Rapackiego, Ziomka, Cieślińskiego i portretów Żmurki, Jankowskiego i innych — odchodzi od nich z lekkim wzruszeniem ramion. Nie znajduje tego, do czego się przyzwyczaił.

W stosunku do sztuki zachodzi rzecz ciekawa: oto młodzież i ludzie prości, o świeżem, niezmanierowanym przez konwenans sposobie patrzenia, umieją widzieć piękno sztuki nowej i dawnej. Są bowiem wolni; piękno linii i barw przemawia do nich bezpośrednio, trafiając do niewypaczonego przez intelektualizowanie odczuwania. Kiedyś, pewna wiejska kobieta, służąca, wyróżniła jako rzecz najpiękniejszą z pośród wiszących w tem pokoju reprodukcji, S-go Jana Leonarda da Vinci (nie wiedziała, że to jest S-ty Jan; nie podlegała żadnej sugestji) i umiała ocenić i rozejrzeć się w barwach ekspresjonistycznego obrazu współczesnego malarza.

Niezmiernie harmonijna w ruchu, piękna w płynnych, spokojnych liniach ciała i szat Atalanta Kuny (wyst. Rytmu) wydała się natomiast niezastępowaną na uwagę, „zupełnie nie ładną“ inteligentnej i dość wykształconej osobie z towarzystwa. Patrząc na obrazy Zaka, lub Borowskiego ludzie, łatwo ferujący wyroki, powiedzą może: „oni nie umieją malować, lub rysować“ i przejdą nad nimi do porządku dziennego, nie biorąc pod uwagę, że stylizowanie Zaka, lub zestawienie barwne Borowskiego, niezwykle i im tylko właściwe — są rezultatem długiej szkoły ćwiczeń i że trzeba być potentatem, by na właściwy styl sobie pozwolić, by móc nim umiejętnie, śmiało i świadomie władać.

Ktoś będący analfabetą w stosunku do sztuki prymitywów włoskich

lub flamandzkich, lecz powierzchownie obyty ze sztuką współczesną — widząc po raz pierwszy obrazy Ghirlandaja, Pinturicchia, lub Dircka Boutsy, odejdzie od nich zniechęcony, mówiąc „Ależ wówczas artyści jeszcze nie umieli malować“ — i o ile z czasem nie skoryguje swej opinii, uszczupli sobie o wielką dziedzinę wrażeń estetycznych.

Z pośród wystaw ubiegłego roku tylko „Rytmiści“ mają bardzo własny wyraz. Można by na ich obrazach uczyć się określania indywidualności artystycznej. Każdy z nich jest bardzo sobą, posiada własną linię, własny dobór barw, własne tematy i środki kompozycyjne. Odrębności są tu silnie zarysowane, niż wśród wielu innych zespołów artystycznych.

Zauję, że obrazów tych jest mało np. Ślodziński dał tylko trzy portrety. Są to dzieła w jasnym, pogodnym, słonecznym ujęciu wprost radosne. Przy używaniu wyłącznie lokalnych barw, nie wprowadzając żadnej „gry“ światła, dając np. samo zestawienie czerwieni, szaro-zielonej, żółto-białej barw (w jednym z portretów), Ślodziński tworzy ślicznie kolorystycznie i rysunkowo zamknięte i całkowite zjawisko.

Rytm wystawy jest miarowy, czasem zwolniony, lub skryzalizowany w chwili, jak u Borowskiego (głowa dziewczyny), lub u Husarskiego (Dziewczyna z dzbankiem). Nastrój klasycznej sielanki posiadają „Wianki“ Skoczylasa, pełna poezji, barw lata, pogańskości i bajki kompozycja, nawskróś słowiańska; słowiańsko-polską jest jego „madonna“ o niezmiernie miłych barwach i pięknej ornamentyce z tatrzańskich kwiatów i XV-wiecznych aniołów.

Zak w „winiarni“ daje człowieka - zjawę, celowo zwięzając i wyciągając postać, głowę, nos — i bawi się w zestawianie różnych odcieni zieleni z ponsową barwą muru. U Husarskiego (Dziewczyna) świetny amarant spódnicy zespala się z zielonością kaftana, podobny ton jabłek i rozkwitających malw z zielenią liści; ruch dziewczęcy bardzo dekoracyjny.

Pokrzywnicka — bliska Zakowi i Stryjeńskiej; Berezowska również spokrewniona z ostatnią, co nie wyklucza własnej fantazji i dużej werwy obu tych artystek. — Niesiołowski dał wspaniale wymodelowaną głowę (rysunek).

Kramszyk zdaje się być luźno związany z Rytmem; jest najwięcej z nich realista z pod znaku Holendrów.

Rzecki na ostatniej wystawie ma mniej niż zwykle czaru i wykintu z epoki Watteau.

Wasowicza „Huculi w drodze“ odznaczają się gorącą barwą i ruchem; artysta ten wiąże klasycznych „rytmistów“ z impresjonistami.

N. Samotyłowa.

Na polach pracy i twórczości

WIEC KOBIEC W SPRAWIE WALKI Z ALKOHOLIZMEM.

Wiece ten odbędzie się w Warszawie w niedzielę, dn. 15 czerwca o godz. 12¹/₂ w południe w sali wielkiej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (Krakowskie Przedmieście 66). Referaty wygłoszą: redaktor Jan Szymański „O stosunku państwa i społeczeństwa do walki z alkoholizmem“, posłanki Irena Puzynianka i Stęślicka ze Śląska Górnego mówić będą o sprawie ustawy przeciwalkoholowej w Sejmie o stosunku ogółu kobiet polskich do tej niezmiernie doniosłej kwestji.

Zywioty zainteresowane, szynkarze, pragną obalenia ustawy — obowiązkiem kobiet jest nie dopuścić do tego. Nie wątpię, że wiec niedzielny będzie wyrazem myśli, uczuć i woli kobiet w sprawie dotyczącej tak blisko i bezpośrednio fizycznego i moralnego odrodzenia narodu.

DZIENNIKARKI WARSZAWSKIE.

Jakkolwiek dziennikarstwo jest polem pracy bardzo odpowiednim dla kobiet, jednakże z trudem udaje im się niekiedy tylko przedrzeć przez mur chiński, zbudowany nietyle z uprzedzeń, ile z materiału bardzo żywego współzawodnictwa mężczyzn w tej dziedzinie zarobków.

Zapytany przez nas, ile kobiet zajętych jest w charakterze dziennikarek w „Kurjerze Warszawskim“, pradziadek prasy stołecznej odpowiada z dumą w głosie: ani jednej!

Łaskawszą już na kobiety (zapewne dlatego że sama jest żeńskiego rodzaju) okazuje się prababka dzienników miejscowych „Gazeta Warszawska“.

Wraz z Gazetą Poranną (2 groszówką) zatrudnia ona w charakterze dziennikarek 3 siły kobiece.

W Kurjerze Porannym i Przeglądzie Wieczorowym pracują 2 kobiety, w Echu Warszawskim 2, w Ekspresie i Kurjerze Czerwonym 2, w Rzeczypospolitej — 1, w Dniu Polskim ani jedna — razem 12.

Do wybitniejszych sił należą p. Neufeldówna z Kurjera Polskiego, p. Panenkowa z Rzeczypospolitej i p. Stycz-Naglerowa z Echa Warszawskiego.

Zaznaczyć należy, że nie uwzględniamy tu publicystek, zamieszczających przygodnie prace swoje w dziennikach. Obliczamy tylko te siły kobiece, które wchodzi w skład stałego personelu redakcyjnego. Cyfry podane tutaj niesłychanie są wymowne, zwłaszcza gdy podkreślimy, że w każdym z powyżej wymienionych dzienników pracuje po kilkunastu mężczyzn.

Z KSIĄŻKĄ POLSKĄ DO FRANCJI.

P. Zofja Biedrzycka, członkini Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego,

*) Wydarzenie to znalazło żywe echo w prasie, która opowiedziała się za artystami. Lecz, cóż mówi o tem „publiczność“? Milczy i dalej odwiedza opustoszałą zachętę.

zebrany materiał na dwie biblioteczki, z których każda składa się z kilkuset dzieł, wyjeżdża do Francji, by dar ten osobiście zawieść Polakom wychodźcom, pracującym w kopalniach okręgu Lille, a zarazem zetknąć się bezpośrednio z życiem tego środowiska polskiego, dziś już liczącego kilkaset tysięcy jednostek. Książki zamknięte są w specjalnych szafach bibliotecznych i niewątpliwie stanowią będą źródło wielkich radości dla czytelników tych, za słowem polskim stęsknionych.

ROBOTNICE POLSKIE W DANJI

Do Danji wyjechało w roku bieżącym 1358 robotnic rolnych, a właściwie folwarcznych, które znalazły pracę przy kwitnących w Danji zakładach gospodarstwa mlecznego. Robotnice nasze są tak cenione, że mimo panującego w Danji bezrobocia, a zatem wielkiej podaży rąk roboczych, Duńczycy sprowadzają do swych mleczarni dziewczęta z Polski. Zapotrzebowanie dotychczas podobno zaspokojone całkowicie nie zostało. Pierwszy transport, złożony z 778 robotnic odjechał z Oświęcimia dn. 6 maja. Transportowi temu towarzyszył ks. Smits, Duńczyk, opiekujący się wychodźcami naszymi. Emigrantki pochodziły przeważnie z pow. Kolbuszowskiego, Tarnobrzесьkiego i Rzeszowskiego. Drugi transport odjechał dn. 15 maja pod dozorem ks. Dutschke, złożony z 580 robotnic, przeważnie z Małopolski. Umowy z robotnicami zawierały obaj księża; przed wyjazdem podpisały one kontrakty i można mieć pewność, że nie spotkają ich żadne przykre niespodzianki. Emigrantki uzyskały od władz polskich znaczne zniżki od ceny biletów kolejowych i poważne ułatwienia w sprawach wiz paszportowych i t. p. Nawet i rząd niemiecki zwolnił je od wizowania paszportów i przyznał im 75% zniżki kolejowej od stacji Zabrze do granicy duńskiej.



KWESTJA KOBIECA NA KUBIE.

W Hawannie powstało „Stowarzyszenie Narodowe Równouprawnienia”, do którego należeć może każdy obywatel hawański bez różnicy płci, który ukończył 14 rok życia. Stowarzyszenie to wydaje pismo „El Sufragista”, w którym czytamy następujący program: „Stowarzyszenie nasze ma na celu:

1) Dążyć do całkowitego równouprawnienia kobiet przez usunięcie dotychczasowych ograniczeń prawnych i zrównanie kobiet pod względem politycznym, obywatelskim, ekonomicznym i społecznym z mężczyznami.

2) Dążyć do wprowadzenia szkolnictwa powszechnego obowiązującego wszystkich obywateli Rzeczypospolitej, tak iżby wyplenić z naszego kraju całkowicie analfabetyzm, a przez to umożliwić przeprowadzenie powszechnego głosowania i wyborów do rządu w sposób uczciwy i rozumny.

3) Toczyć walkę ze zbrodniczością, rozpustą, alkoholizmem i t. p. zgubnymi nałogami prowadzącymi do zwyrodnienia moralnego i fizycznego społeczeństwa.

4) Łączyć się ze wszystkimi Ligami i Stowarzyszeniami Międzynarodowymi, pracującymi pod hasłem pokoju powszechnego, celem przeciwdziałania wznowieniu w przyszłości wojen i zapewnienia rozwiązywania możliwych konfliktów międzypaństwowych na drodze dyplomatycznej i pokojowej.

5) Zwalczać wszelkimi dostępnymi nam środkami handel żywym towarem, oraz roztaczać opiekę nad kobietami moralnie upadłymi, również jak i nad dziećmi nielegalnymi“.

SPADEK PO EKS-CESARZOWEJ EUGENJI.

Była cesarzowa francuska Eugenia, żona Napoleona III, zmarła d. 11 lipca 1920 r., zapisała w testamentcie cały swój majątek księżniczce Marji-Klotyldzie Bonaparte, córce księcia Wiktora Napoleona.

Wartość tego majątku oceniona jest na 9,537,102 franki. W tem zawarta jest jednakże suma 4,992,558 franków, które rząd francuski winien wypłacić spadkobierczyni eks-cesarzowej jako dług wynikły z niewypłacenia pensji, przyznanej wdowie po cesarzu, która to pensja została wyznaczoną i zatwierdzoną dekretem rządu francuskiego z dn. 12/I 1899 r.

Księżniczka Marja-Klotylda wystąpiła więc do rządu francuskiego o wypłatę tego długu i o uprawnienie jej do objęcia należnego jej spadku, Rząd francuski jednak zapatrywał się na tę sprawę z innego punktu widzenia, a więc przede wszystkim — zażądał zapłacenia podatku spadkowego, opłat stemplowych i t. d. — co wszystko razem uczyniło sumę 7.593,297 franków i 19 centymów.

Po odjęciu tej sumy od wyżej wymienionych 9,347,102 frank. okaże się, że cały spadek wynosi zaledwie 1,753,841 franków i 81 centymów,

Nie na tem jednak koniec. Władze, uznając w zasadzie dług 4,992,558 fr. za prawomocny, nie uważają narazie za możliwe wypłacenie tej sumy petentce. Natomiast żądają od niej zapłacenia podatku spadkowego od całkowitej sumy (obejmującej również i zakwestjonowany dług), a więc,

według obliczenia rządu francuskiego księżniczka Marja-Klotylda winna mu dopłacić 3,238,753 franków!

Jak widzimy z powyższego obliczenia, spadek po eks-cesarzowej Eugении nie należy do najzyskowniejszych...

KTO JEST GŁOWĄ DOMU — MAŻ, CZY ŻONA?

Sąd Aldermanów w Pottsville, Pensylwanja (Stany Zjednoczone) roztrząsał niedawno sprawę, w której chodziło o ustalenie, komu z małżonków należy się prawnie tytuł „głowy domu”.

Sprawa mianowicie była taka: niejaki plan Charles Liddle trudniący się fryzjerstwem, podczas swej gościny w domu państwa Wood, obraził na siebie pana domu (z zawodu piekarza), wobec czego pan Wood w dość brutalnych wyrażeniach zażądał od swego gościa natychmiastowego opuszczenia mieszkania. Żona jednak poręczycielskiego gospodarza, snać łagodniejszego usposobienia, próbowała pogodzić zwaśnionych i zaproponowała panu Liddle, aby pozostał. Stąd wynikła gwałtowna scena: pan Liddle utrzymywał, że wobec prośby pani Wood przysługuje mu prawo pozostania nadal w mieszkaniu, pan Wood zaś twierdził, iż gość jego stał się winnym naruszenia nietykalności jego mieszkania, pozostając w niem pomimo wyraźnego żądania opuszczenia go natychmiast.

Skończyło się tem, iż sprawa ta została oddaną do rozstrzygnięcia sądu, który orzekł co następuje:

Według prawa, obowiązującego na całym terytorjum Stanów Zjednoczonych, mąż jest głową domu i jako taki ma niezaprzeczone prawo do decydowania, kogo sobie życzy lub też nie życzy widzieć w swoim mieszkaniu. Świadczy o tem popularne w Ameryce przysłowie: „Dom człowieka (man — mężczyzna i człowiek zarazem po angielsku) jest jego zamkiem obronnym, którego nietykalności naruszać nie wolno”. A zatem gość, który nie opuścił mieszkania pomimo żądania gospodarza, naruszył ową nietykalność, gwarantowaną każdemu z obywateli Stanów Zjednoczonych przez prawo.

To orzeczenie sądu wzbudziło oburzenie feministycznego Związku Narodowego Kobiet Amerykańskich, który zwrócił się listownie do prezesa sądu z prośbą, o wyjaśnienie, dlaczego mąż ma być uważany za głowę domu, nie zaś żona i czy w razie, o ile żona jest właścicielką prawną mieszkania (kupiła je za swoje pieniądze, lub odziedziczyła i t. d.), przysługuje jej wtedy prawo do tytułu „głowy domu?”

W odpowiedzi na to prezes sądu przysłał następujące wyjaśnienie:

„Prawo St. Zjednoczonych czyni małżonka odpowiedzialnym za postępek członków jego rodziny, oraz wkłada na niego obowiązki ich utrzymania

nia. Na tej zasadzie uważam, że przysługuje mu zawsze i we wszystkich wypadkach tytuł „głowy domu”.

Co się zaś tyczy wypadków, w których żona jest prawną właścicielką mieszkania, nie zmienia to, moim zdaniem, postaci rzeczy. Składając przysięgę posłuszeństwa, żona tem samem uznaje jednocześnie zależność swą od męża i wyższość jego nad sobą pod każdym względem”.

TANIEC JAKO CIĘŻKA PRACA.

Szał tańca, jaki ogarnął Europę w latach ostatnich i w którym psychologowie i... psychiatrzy chcą widzieć reakcję po okropnościach wojny światowej, nie ominął i Ameryki. Przeciwnie, krzewi się tam jeszcze bujniej, tak bujnie, że Komisja Rozrywek Publicznych (Commercial Recreation Committee) ustaliła na zasadzie ścisłych danych statystycznych, iż w samym Nowym Jorku znajduje się nie mniej, jak 653 „dancing-hall'ów”.

Niektóre z tych zakładów, cieszących się bardzo liczną frekwencją, posiadają płatny personel żeński w postaci młodych i przystojnych tancerki, wynajmowanych specjalnie do tańczenia z gośćmi. Zdawaćby się mogło, że jest to rzemiosło lekkie i przyjemne: tymczasem — według sprawozdań tejże Komisji — jest to praca niezmiernie ciężka i wyczerpująca, a przytem bardzo mało płatna.

Francuski owe są wynajmowane na warunkach następujących: obowiązkowe godziny pracy — od 8 wieczór do 1-szej w nocy, w niedziele zaś i święta praca rozpoczyna się wcześniej i trwa znacznie dłużej. Za każdy taniec otrzymują 5 centów, za każdy zaś opuszczony płacą 1 cent kary. Przytem na sali niema dla nich krzeseł, na których mogłyby choć przez chwilę odpocząć: zresztą, humanitarne to ułatwienie byłoby dla nich zbyt cennym, chcąc bowiem zarobić chociażby tylko tyle, ile otrzymuje niewykwalifikowana praktykantka biurowa, t. j. 20 dolarów tygodniowo, muszą biedne dziewczęta przetańczyć w ciągu jednego wieczora conamniej 70 tańców!

Właściciele zaś owych „dancingów”, wyzyskują w ten sposób biedne adeptki Terpsychory, biorąc od swoich klientów — przeważnie należących do najwyższych warstw społeczeństwa — za każde 9 tańców jednego dolara. Każdy taniec jednak trwa nie wiele dłużej, niż minutę; potem następuje zaledwie dziesięciosekundowa przerwa, i orkiestra zaczyna nowy taniec. Zanim się więc rozochocony tancerz spostrzeże, przetańczy Bóg wie ile „kawałków” i przy opuszczeniu zakładu okaże się, że jest winien kolosalne sumy za t. zw. „tańce-extra”. Skoro bowiem przetańczy owe objęte biletem wstępu i opłacone z góry 9 tańców, musi za każdy dalszy „ekstra-kawałek” płacić 25 centów.

Wyżej wymieniona Komisja, podkreśla w swem sprawozdaniu, że do

dancingów nowojorskich uczęszcza rocznie przeszło 6 milionów osób, przeważnie młodzieży pomiędzy 20—30 rokiem życia. Obliczonym jest, że przeciętnie 14% mężczyzn, a 10% kobiet z pośród młodzieży robotniczej i rzemieślniczej uczęszcza na tańce przynajmniej raz tygodniowo.

Przyczyny tego prawdziwego szalu tańca szukać należy — według zdania Komisji — poczęści w chęci naśladowania warstw wyższych, hołdujących namiętnie tańcom i rozrywkom, przedewszystkiem zaś — w trudnych warunkach mieszkaniowych, które niejednokrotnie są przyczyną, że kilka rodzin robotniczych zamieszkuje jedno ciasne mieszkanie, wobec czego młodzież pozbawiona jest zupełnie możliwości życia towarzyskiego i musi szukać rozrywek poza domem.

Na zakończenie swego sprawozdania, Komitet przedkłada rządowi projekt iście amerykański: stworzenia sal do tańca i zabaw, pracujących pod kontrolą rządu, oraz wyznaczenie oficjalnych „opiekunek”, których zadaniem byłoby czuwać nad moralnością i przywoitością tych rozrywek. Ma to być — wedle słów projektu — coś w rodzaju ogródków dziecięcych... tylko dla dorosłych: miejsce, gdzie młodzież amerykańska będzie mogła oddawać się godziwym zabawom i rozrywkom pod okiem czujnej strażniczki moralności.

W San Francisco istnieją już podobno takie zakłady utrzymywane przez instytucje społeczne. Właściciele prywatnych sal tańca prowadzili z początku przeciwko nim zażartą kampanję, musieli jednak w końcu pogodzić się z losem, gdyż policja zażądała od nich wprowadzenia takich samych „opiekunek”, notabene płatnych — z ich kieszeni... Z. B.

W ZWIERCIADLE DNIA

PRZEPISY KUCHENNE I TRYBUNA PARLAMENTARNA

Waszyngtońskie pisma doniosły niedawno, iż panie, należące do wyborczego komitetu demokratycznego w Stanach Zjednoczonych, postanowiły przekonać wyborców cały świat współczesny, że kobiety mogą uprawiać politykę, a być przytem dobrimi gospodyniami. Demokratyczne kandydatki na posłów — w liczbie 55 — rozdawać będą na najbliższym kongresie swej partii... książkę kucharską, ułożoną przez nie same. Każda z przyszłych posłanek poda oryginalne przepisy kulinarne, właściwe swemu okręgowi wyborczemu. Kto z delegatów i gości kongresowych oprze się takiej kampanji wyborczej?

Prawdziwa czy anegdotyczna (jak wiele pomysłów, rozsiewanych z tamtej strony oceanu) propaganda amerykańska jest znamienna dla dzisiejszych pokoleń kobiecych. Nie jest

głupstwem, ani owczem gonieniem za efekciarstwem. Jest ugruntowana na przekonaniu, że świat uznaje i szanuje w kobiecie przedewszystkiem doskonałość jej kobiecości i zdolność do pełnienia zadań, specjalnie przez życie praktyczne (nie mówię „przez naturę”, bo od natury odbiegliśmy wszyscy o setki mil) włożonych na barki kobiet.

Jeszcze nie tak dawno, skomponowanie podręcznika sztuki gotowania przez „kobiety polityczne” byłoby uważane za śmieszność nie do darowania.

Ale czasy się zmieniają...

Kanonem kobiety — człowieka, kobiety wyzwolonej i równej w prawach mężczyźnie, było jeszcze przed 50 i 40 laty maskulinizowanie à outrance. Nietylko wewnątrz męski lub prawie męski strój, włosy krótko strzyżone, szorstkie ruchy, męskie rezonerstwo i przyzwyczajenie do papierosów i knajpy. Wpadało też pogrzebać pod męską kamizelką sentyment i czar niewieści, Zapomnieć dawnych talentów, wyciągania merek, roztkliwiania się nad kwiatami, i dziećmi, do bicia piany i smażenia konfitur. Wyzbycie się kobiecości dawało dyplom na człowieka.

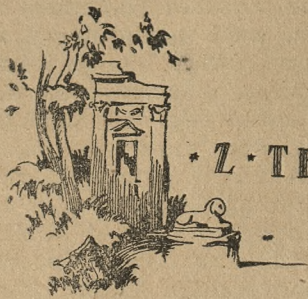
Dzisiejsze pokolenie niewieście zrywa z tą pokorą pierwszych emancypantek. Nie czuje się upośledzone wobec mężczyzn, twierdzi zarozumiale, że można być równocześnie i kobietą i człowiekiem.

Muszka, nalepiona zalotnie na różowej buzi nie kompromituje już doktorki obojga praw, nie ubliża jej własnoręcznie szycie sukienek dla własnych bachorków i w chwili natchnienia wysmażanie przysmaczków dla własnego męża..

Coraz dyskretniej mówią kobiety o swych dyplomach i stanowiskach, które stały się czemś codziennym. Coraz bardziej podkreślają swą odrębność od świata męskiego, który poznały i który mało im przypada do gustu. Już nie wstydzą się, że są tylko kobietami, lecz dopominają się głośno: „Dajcie nam i to — bo jesteśmy kobietami”.

Wiedzą, że istnieją pewne dziedziny, w których jej kompetencja i znajomość rzeczy przesądza decydujący głos kobiecie. Wiedzą, że wyspecjalizowanie się w tych sprawach — kwestie wychowania, macierzyństwa, opieki społecznej, gospodarcze całe pole pacyfizmu — pozwoli stworzyć nowe instytucje dla dobra wszystkich — zarówno kobiet jak i mężczyzn. Nie obejdzie się dziś społeczeństwo bez rąk i głów kobiecych, wnoszących bezkonkurencyjne walory w życie samorządowe i parlamentarne.

O sercu jeszcze się nie mówi — to zawsze rzecz niezbadana i wstydliva. Ale jakaż nędzna byłaby potęga kobiecości — w domu czy na trybunie parlamentarnej — gdyby nią nie kierowało kobiece serce.



TEATR ROZMAITOŚCI.

„*Glupi Jakób*“, sztuka w 3 aktach T. Rittnera
reżyserował Kazimierz Kamiński.

Wznowienie „*Glupiego Jakóba*“, granego przed czterema laty w teatrze Małym (i w takiej samej obsadzie głównych ról) należy do najudatniejszych widowisk tegorocznych i jest dostojnym zamknięciem sezonu teatralnego w Rozmaitościach, które już wkrótce zmienią nazwisko i przeniosą się do Teatru Narodowego.

Interesujące się teatrem czytelniczki znają zapewne „*Glupiego Jakóba*“. To też nie będę na tem miejscu podawać streszczenia. Skomplikowany proces psychologiczny, jaki przeżywa garstka ludzi, mieszkających pod jednym dachem, mistrzowsko odmalowane postacie, charakterystyczne w epoce, która już poczęła przechodzić do historii — oto najistotniejsza wartość sztuki. Można ją bez przesady zaliczyć pomiędzy najlepsze nie tylko Rittnerowskie, ale europejskie utwory dramatyczne z okresu tak zwanego modernizmu.

Pomimo, że „*Glupi Jakób*“ ochrzczony został, jako sztuka w 3 aktach, bez wahania nazwałabym ją dramatem. To, co się dzieje w sercach dwojga ludzi: starego, zdziwaczalego samotnika, młodej dziewczyny, o tygrysiach apetytach życiowych i „*glupiego*“, bo szlachetnego Jakóba, który w imię hasła prawdy wyrzekł się wszelkich korzyści materialnych, — zasługuje na miano dramatu.

To zaś, co się rozpoczyna z chwilą zapadnięcia kurtyny w trzecim akcie, jest już nawet tragedją. Wyobraźmy sobie, przynknawszy na chwilę oczu, przyszłe pożyście Szambelana z Hanią, ich wzajemną nienawiść, potworną walkę dwóch istot odtąd bezsilnych, obrabowanych wzajemnie ze szczałków złudzeń względem siebie... Wyobraźmy los Jakóba, tego głupca, który z chłopskim uporem powtarza, że Hania jest mu wszystkim na świecie. Uprytomnijmy sobie, że odtąd grecka Ananke, — ukryta w ubiorze popostości powszedniego dnia, ślepa i bezlitosna, — rządzić będzie tymi ludźmi — a oto mamy czwarty akt, istotne zakończenie sztuki, tragiczne, choć zapewne bezkrwawe.

Olbrymią, niepodzielną zasługą Kazimierza Kamińskiego jest reżyserja sztuki, godna podziwu i naśladowictwa. Z jaką sumienną pieczołowitością opracował ten znakomity artysta każdy najdrobniejszy szczegół swej własnej roli, nie spuszczać ani na chwilę czujnego oka z całego zespołu! O staranności, z jaką wystawiono „*Glupiego Jakóba*“ świadczy chociażby fakt, że sztuka ma za sobą 5 tygodni prób i grana była na premierze bez suflera.

Kamińskiemu - Szambelanowi i Jaraczowi w roli Jakóba należy się hołd. Wszyscy inni artyści dzielnie wtórowali im: p. Marja Brydzińska zwłaszcza w akcie trzecim, w akcentach dramatycznych ukazała szeroką skalę swego bujnego talentu, pani Michałowicz (Katarzyna) i Krzewiński (dymisjonowany porucznik, „c. i k.“ wojsk austriackich) dali sylwetki niezmiernie charakterystyczne, zaś p. Mogielnicka, jako siostra Szambelana, stworzyła świetny typ, tak dobrze znany każdemu z nas pod postacią niejednej krewnej, zwanej w kółku rodzinnem „piłą drewnianą“.

W. Miłaszewska.



Niedawno została ogłoszona drukiem książka, jakiej brak dotkliwie dawał się odczuwać w naszej literaturze pedagogicznej. Jest nią *Historja Wychowania*, opracowana przez Stanisława Kota, profesora historii kultury na uniwersytecie Jagiellońskim. Obejmuje ona nieomal całość dziejów wychowania od czasów helleńskich aż do najnowszych. Autor pominął jedynie wychowanie u ludów Starożytnego Wschodu, wychodząc z założenia, że współczesna kultura europejska opiera się przedewszystkiem na kulturze greckiej. Natomiast dość obszernie uwzględniona jest historia pedagogji polskiej i częściowo najnowsze prądy w wychowaniu, jak pedagogika eksperymentalna, szkoła pracy i t. p.

Dwa dłuższe fragmenty książki Kota: „*Reforma szkolna Konarskiego*“ i „*Komisja Edukacji Narodowej*“ wyszły w roku ubiegłym, jako broszury jubileuszowe. Książka ta była bardzo potrzebna, gdyż dotychczasowe prace polskie z tego zakresu (jak Majchrowicza, Seredyńskiego, Janika i t. d.) były niewystarczające.

Autor traktuje swą pracę przedewszystkiem jako podręcznik dla seminarjów i kursów nauczycielskich, tem niemniej znaleźć się ona powinna w rękach każdego pedagoga i wychowawcy, gdyż według słów wstępu historia wychowania posiada praktyczną użyteczność. „Stanowi ona bardzo ważne źródło dla współczesnej nauki o wychowaniu, dla pedagogji systematycznej... Nawet znajomość błędów, popełnionych w pedagogji przeszłości, ma wartość kształcącą.“

Najnowsza książka znanego historyka J. Grabca (Dąbrowskiego) nosi tytuł: „*Ostatni Szlachcic*“. Należałoby ją raczej zatytułować: „*Ostatni Magnat*“, gdyż jako magnata przedewszystkiem, jako potomka Ossolińskich i Myszkowskich maluje Grabiec postać Aleksandra Wielopolskiego, Naczelnika Rządu Cywilnego i przez czas krótki niemal dyktatora Królestwa Polskiego (w r. 1860).

Postać to potężna i dla historyka niezmiernie interesująca. Człowiek, który miał rzadko spotykaną *odwagę być niepopularnym*. Chciał sam bez niczyjzego poparcia i pomocy wcielić w życie swój program polityczny. Tradycja włożyła mu w usta słowa: „Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, z Polakami nigdy.“ Przegrał i ściągnął na siebie przekleństwo przyspieszenia wybuchu powstania 63 roku.

Książka Grabca jest próbą analizy psychicznej ostatniego polskiego magnata-statysty w wielkim stylu. Próba ta niekiedy zawodzi, rzuca jednak wiele ciekawego światła na niezwykłą tę postać.

J. E.

KĄCIK LEKARSKI

(ciąg dalszy)

Dziedziczność konserwatywną jest wtedy, kiedy otrzymujemy pewne cechy po przodkach, nie wzbogacone przez rodziców nowemi — lub w silniejszej formie — w tym ostatnim przypadku nazywa się *progressywną*.

Naprzykład: I-sze pokolenie — nerwowość, II-gie — psychozy, III-cie pokolenie obłąd — lub idjotyzm. Historia podaje mnóstwo przykładów progressywnej dziedziczności.

Naprzykład: Ludwik I, król bawarski jest artystą i poetą, jest jednocześnie ekscentrycznym dziwakiem. Syn jego, król Maksymilian II cierpi na bóle głowy. Ludwik II, syn jego, odbiera sobie życie. Brat jego, król Otto jest obłąkanym. Siostrzeniec, arcyks. Rudolf, — jak wiadomo, ekscentryczny młodzieniec kończy tragiczną śmiercią... zagadkową.

Gdybyśmy tak wszyscy dziedziczili ujemne cechy fizyczne i duchowe crescendo — to nie byłoby ludzi normalnych, a tacy są... i będą...

Bo na szczęście natura ma cudowny talent także zacierania i przeistaczania, łagodzenia i unicestwiania cech przyrodzonych przez wychowanie odpowiednie, przez nowe związki i wskutek tego przypływ nowych a przeciwnych sił, osłabiających jedne, a wzmacniających inne, przez wpływy otoczenia i przykłady, godne naśladowictwa.

Naprzykład: zauważono, że w rodzinach, w których ojciec lub matka, albo też oboje rodzice, ogarnięci żądzą zdobycia bogactwa, cały cel życia widząc w tem jedynie, zużywają najlepsze swe siły żywotne na to i, sknerstwem, chciwością, wszelkimi środkami dosięgają celu — dzieci ich mają wręcz przeciwne cechy charakteru: puszczają lekkomyślnie fortunę, lekceważąc plony pracy ojcowskiej z największą fantazją wbrew logice rozsądku i praktyczności życiowej. Jest to bunt przeciw temu, co im ciążyło w dzieciństwie — jaskrawa forma wyzwolenia się z jarzma egoizmu.

Dodatnie warunki i okoliczności życia sprzyjające, otoczenie dobrych, szlachetnych ludzi może najlichszą glinę ludzką przerobić na materiał szlachetny.

I odwrotnie.

Dążenie do uszlachetnienia rasy ludzkiej określa coraz szersze kręgi i coraz więcej znajduje posłuchu.

Wymagania wzrastają...

Już nie wystarcza sam ów pociąg naturalny — prawo miłości — w zawiązywaniu gniazda człowiekowi.

Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę — stan zdrowia przyszłych rodziców i walory charakteru.

Trzeba wzajemnego poznania się i zrozumienia.

Tylko takie wspólne rozważenie sił wzajemnych wewnętrznych i zewnętrznych może stać się pewną rękojmią trwałej harmonji, solidarnego współżycia i prawdziwego udziału w pięknie życia.

Dr. J. Śmiarowska.

SZAL, CHUSTKA, CHUSTECZKA.

Cała gama kolorów gorących, żywych. Tysiące kształtów, wielkości, zastosowań. Niezbędne wykończenie toalety eleganckiej kobiety, kropka nad „i“, przedmiot marzeń wielu pań, to szal, chustka, chusteczka.

Mienia się na nich barwy nad barwami, cieszą oko, niczem więź podzwrotnikowego kwiecica, gaszą zbyt jaskrawe rumieńce, na blade twarzyczki cień kładą różanej jutrzzenki, przed chłodem zachodzącego słońca wątle kryją ramionka, białość łabędziej szyi węzowym spłotem w zazdrosne biorą posiadanie, jak motyle w słońcu barwą swą grają na złotych i czarnych kędziarach i jaskrawą tęczą spowijają smukły kształt niewieści.

I czy to długi, szeroką frendzlą oszyty, na smukłej szyi owinięty, a zwisający do ziemi szal, z przedziwnie miękkiej, jedwabnej tkaniny, czy to barwna, niewielka, batikowana, kwadratowa chusteczka, na róg złożona, zarzucona na plecy i ramiona, a z przodu w węzeł ujęta, miano „chustki apaszki“ nosząca, czy też bogata, kaszmirowa, w palmy tureckie tkana, pra-prababkom naszym w wianie do kutych skrzyń składana, lawendą wonna, a jak relikwia z pokolenia na pokolenie najstarszej córce przeznaczana; czy też ta maleńka, najmniejsza, co u paska, bransoletki, jakiegoś wymyślnego, a misternego przecięcia w rękawie zwisa, lub z kieszonki figlarnym różkiem na świat wyziera — wszystkie są dziś żywiołowym krzykiem mody i wszystkie panują wszechwładnie. Szale, chustki, chusteczki!

W wiejskich parkach i ogrodach, na stokach gór, wśród bezkresnych piasków morskiego wybrzeża, wszędzie, z frendzlą waszą misterną igrają wiatry swawolne, wszędzie barwną padacie plamą i jak kwiat rozkwitły cieszyć oko. Z wykorzystaniem tego nakazu władczyni mody spieszyć się trzeba.

Pęd jest ostry i zachłanny, rzuca szale na prawo i na lewo, na ramiona i ramionka, na kapelusze, szyje i biodra, a że jaskrawe są i widoczne, opatrzą się też prędko i przyszele lato skreśli je z listy honorowej.

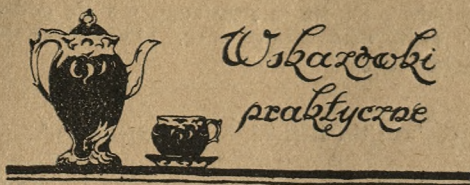
Moda śliczna i wdzięczna, to też ociągać się nie trzeba, a posłusznie pójść w uroczne jarzmo kaszmirów, crepe de chine'ów, fułarów, jedwabi — płatać je w węzły misterne, nadawać coraz to inne linje, nowe zastosowania i kształty!

Hołdować modzie, oto jedno z przykazań, którego kobieta nie lekceważy, a zatem poczesne miejsce dla szala, chustki, chusteczki!

W.

Odpowiedzi Redakcji

Pani Joannie Sw. w Ruciniewie na Pomorzu. List został przesłany pod wskazanym adresem. Kwestja, o którą Pani chodzi, jest zbyt skomplikowana, żeby mogła znaleźć radę zaocznie. Porady lekarskie piśmienne są rzadko skuteczne — zwłaszcza w tej dziedzinie. Adres dr. Śmiarowskiej Moniuszki 6 — przyj. 5 — 7 — specjalność — chor. kobiece.



KUCHNIA WŁOSKA.

(ciąg dalszy)

Poza właściwymi jarzynami, których tak obfitość używa się we Włoszech, a głównie poza pomidorami, które bądź świeże, bądź w konserwach stanowią konieczną przyprawę każdej potrawy nie tylko u inteligencji, lecz i u ludu, ważną rolę w kuchni włoskiej odgrywają kasztany.

W Toskanji pieką z nich wykwentne torty i ciastka „castagnaci“ a w Apeninach pasterze pasąc swe owce żywią się rodzajem blinów u nich „necci“ zwanych. — Pieką je między dwoma rozpalonymi kamieniami, przekładając je liśćmi winnymi a jedzą ze świeżymi oliwkami.

W zimie w miastach, kasztany pieczone są w żarowych piecykach na ulicach.

Prawdziwe bogactwo Włoch stanowią oliwki — jedzone na świeżo, marynowane i solone, stanowiłyby tylko mniej cenny i nie każdemu do smaku przypadający artykuł — lecz dają one najsmaczniejszy i najzdrowszy łąszcz roślinny — oliwę.

Całe, Włochy używają do kuchni, do smażenia głównie oliwy tylko, jest ona tak świeża i smaczna, że najdelikatniejsze żołądki ją znoszą, a wszelkie włoskie „frittara“ z mięsa, ryb i jarzyn, zakropione sokiem cytrynowym, lub w towarzystwie soku pomidorowego są przysmakiem prawdziwym, godnym podziwienia najgrymańszszego cudzoziemca.

Oliwa poza użyciem na miejscu stanowi z dawien dawna jeden z najpoważniejszych artykułów eksportu włoskiego. Wszyscy wiemy, że zimy tej mieliśmy w Warszawie moc włoskiej oliwy, która, zanim się paskarze obejrzel i zanim podnieśli jej cenę w ciągu dni kilku w trójnasób, — była tańsza od krojowego masła.

Oliwa, makaron, cytryny i pomarańcze, weszły już u nas w użycie narówni z krajowymi produktami, — natomiast i inne, poza pomarańczami, mandarynkami i cytrynami owoce spożywają się przeważnie na miejscu — we Włoszech. Każda prowincja ma swoje specjalności w tym kierunku, które dawniej przeważnie były konsumowane na miejscu, po wojnie, jakgdyby nastąpiło nowe połączenie Włoch, produkta zaczęto wymieniać, przysyłać z miejsca na miejsce, i dzisiaj w całych Włoszech można nabyć tych przysmaków, które dawniej stanowiły specjalność poszczególnych miejscowości. Przedewszystkiem więc idą winogrona, cudne złociste lub walinowe, jakby wchłoneły w siebie nieco blasku południowego słońca, przeważnie bardzo słodkie i aromatyczne jak „Moscato Zibibbo“, „Lura fragoli“ i inne. Werona słynie swymi gronkami, jeden gatunek ich o brzydkiej powierzchowności, skórce grubej i plamistej, nosi nazwę „Brutte ma buone“, jest niezrównanie delikatny.

Figi jako nieco mdłe je się we Włoszech przeważnie z szynką lub mórta delą, olbrzymich rozmiarów, o grubym mięsie, aromatyczne melony — prócz cukru z pieprzem się zajada.

Olbrzymie brzoskwinie, morele i śliwki w jesieni są spożywane w olbrzymich ilościach. — Wszystkie te owoce kuchnia włoska używa głównie na świeżo, — każdy obiad i drugie śniadania kończy się deserem, składającym się z owoców i sera „frutta e formaggio.“

Klimat włoski daje owocom możliwość dojrzewania przez rok cały, a zresztą w przerwach są suszone rodzenki i figi, orzechy włoskie i migdały. Toteż ciast, o których będę mówiła, mówiąc o kuchni właściwej, używa się stosunkowo mało, a lody, — najwspanialsze lody na świecie, — przeważnie owocowe są jedzone, jako rzecz oświeżająca w cukierniach i kawiarniach, przyczem jest ich sporo gatunków, bardzo twardo zamrożone. W Neapolu nazywają się „specci duri“, w Sycylii podają się one z zamrożonymi w nich owocami smażonymi w cukrze i noszą nazwę „la cassatta“, — w Wenecji mają konsystencje śnieżną, łatwiej topnieją i noszą nazwę „granito.“ Oprócz lodów spożywa się w kawiarniach olbrzymie ilości lemonjady „lemonat i aranciat“ w zależności od tego czy z cytryny czy z pomarańczę jest zrobiona.

Najbardziej orzeźwiająjącym napojem jest „spremufa“, jest to sok cytrynowy wyciśnięty do zimnej wody bez cukru zupełnie.

Pani Elżbieta.

KWAS Z JABŁEK SUSZONYCH.

Funt jabłek suszonych, (mogą być poprzedniego gatunku, z łupinkami) rozgotować papkę w trzech litrach wody, precedzić przez gęste sito lub serwetę, rozprowadzić gotowaną, przestudowaną wodą do ilości dziesięciu butelek, (siedmiu litrów), rozpuścić w tym płynie funt cukru, włożyć lut najlepszych drożdży, dać tak postać godzin parę. W butelki dobrze wymyte i wysuszone powkładać po trzy—cztery drobne rodzenki sułtańskie, nalać równo z szypką płyn przyrządzony, mocno zakorkować rozparzonymi korkami, korki poprzywiązywać mocnym szpagatem, żeby nie powyskakiwały. Dobę potrzymać w kuchni lub pokoju, poczem wynieść do piwnicy. Po trzech dniach zadny do użycia. Jest to tani i zdrowy napój na dni upalne, doskonale zastępujący drogie i niesmaczne obecnie piwo.

KWAS CHLEBOWY Z CYTRYNĄ.

Skórki od chleba pyłowego, ususzone, w ilości około funta nalać dziesięciu butelkami (siedmiu litrami) wody przegotowanej i trzymać tak trzy doby. Płyn precedzić przez gęste sito, rozpuścić w nim funt cukru, wcisnąć sok z jednej cytryny i utartą z niej skórę, (jeśli skórka utarta na tarce należy paru godzinach płyn jeszcze raz precedzić), można też skórę z cytryny zetrzeć paru kawałkami cukru kostkowego, lub z braku cytryny włożyć kawałek kwasu rozmiaru małego włoskiego orzecha i wlać dwie krople olejku cytrynowego. Nakoniec należy rozpuścić w

plynie łut drożdży. Do suchych, czystych butelek powrzucić po trzy — cztery, rodzenki sułtańskie, nalać płyn przegotowany, mocno zakorkować korkami wyparzonymi dla zmięknienia, zawiązać mocnym szpagatem, aby korków nie powyrywało. Trzymać dobę w kuchni lub pokoju, potem wynieść do chłodnej piwnicy, po dwóch dniach już jest zdatny do użytku. Nie należy nalewać zanadto pełno butelek, gdyż mocny kwas je nieraz rozrywa.

Pani Elżbieta.

CHŁODNIK ZWYCZAJNY.

Ugotować dwa pęczki botwinki (łodygi i liście młodych buraków) szczawiu lub też funt dobrych, nie trąjących piwnicą buraków, drobno pokrajanych w litrze wody z solą. Oddzielnie utrzeć dobrą garstkę młodego koperku, zielonej cebuli (szczypiork), obrać i pokroić drobno dwa ogórki lub jeden bardzo duży, cztery jaja ugotować na twardo i pokrajać na ćwiartki, przygotować kilkanaście szyjek rakowych, talerzyk pokrajanej w drobną kostkę zimnej pieczeni cielęcej i połowę tej ilości nietłustej, surowej, lub gotowanej szynki. Jeżeli niema, wszystkich trzech ostatnich dodatków, to chociaż jeden z nich, którykolwiek bądź jest niezbędny. W wazie rozbić trzepaczką od kremu lub od jaj, litr zsiadłego mleka i kwaterkę najlepszej śmietany, tak, aby masa była zupełnie jednolita, wlać botwinke, włożyć wszystkie inne dodatki, jeśli mało kwaśne do-

dać kilka kropel najlepszego octu, włożyć tyle kawałków lodu, ile talerzy zupy ma się podawać, potrzymać minut parę, aby doskonale ostygło i wydać.

CHŁODNIK ROSYJSKI „OKROSZKA.”

Wszelkie gatunki gotowanego i pieczonego mięsa lub ryby, jakie są w danej chwili w domu, pokrajać w drobną kostkę, cztery jaja ugotować na twardo i pokrajać w plasterki, ćwierć funta szynki lub boczku gotowanego, a nawet dobrej, gotowanej kiełbasy bez czosnku skrajając też drobno, usiekać i utłuc w moździerzu sporą garść szczypiorku i koperku, obrać i pokrajać w kostkę dwa świeże

lub mało solone ogórki, jeśli jest kilkanaście obranych szyjek rakowych i dużych łapek, na koniec dobrą łyżkę chrzanu utartego i zaprawionego octem lub też łyżką ostrej musztardy domowej, — włożyć wszystko w wazę, wymieszać doskonale i kwaterkę najlepszej, gęstej śmietany, wlać na to trzy butelki kwasu chlebowego, osolić do smaku. — Kto lubi może wsypać nieco pieprzu lub gałki muszkatołowej, — nalewając na talerze na każdym z nich położyć po kawałku lodu.

Pani Elżbieta

KRUCHE CIASTKA.

(Na żądanie pani Z. T. z Krotoszyzna).

Pół funta tłustego masła roztopić w rydelku, wlać w glinianą misę i ucierać, aż zbieleje jak śmietana, wbić w to dwa żółtka, wsypać pół funta cukru, ucierać, aż cała masa zbieleje i znacznie jej przybędzie. Wsypać w to funt mąki, najlepiej krupczatki, na koniec nożem amoniaku w proszku, pięć gorzkich migdałów, oparzonych, obranych ze skórki i utłuczonych, wyrabiać rękami, aż się uformuje jednolite ciasto, — postawić je na godzin parę na lodzie, aby zeszywniało, (zimną starczy wyniesienie na chłód) rozwałkować cienko, wykrawać foremką ciastka, piec w dobrze gorącym piecu do zarumienienia. Można te ciastka osypać grubo siekanymi migdałami z cukrem, robi się to przed wsadzeniem w piec.

Pani Elżbieta.

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

92 „KOLORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

Dr. M. TUCHENDLER
B. LEKARZ KLINIKI PROF. LESSERA
CHOROBY SKÓRNE, KOSMETYKA
(ŁUPIEŻ, PIEGI, PLAMY, USUWANIE
BRODAWEK ELEKTRYCZNOŚCIĄ)
od 11 do 12^{1/2} i od 6—8. 221
Królewska 27 m. 1. Telef. 14-27.

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

	TEATR WIELKI	ROZMAITOŚCI	LETNI	POLSKI	MAŁY	KOMEDJA
Niedziela 15/VI	„Carmen“	„Głupi Jakób“	„Dwaj Mężowie p. Marty“	„Czerwony Młyn“	„Knock“	„Pomysł Panny Franciszki“
Poniedz. 16/VI	„Tristan i Izolda“	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„ „ „
Wtorek 17/VI	„Aida“	„Inżynier R. H.“	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„ „ „
Środa 18/VI	„Cyganerja“	„Głupi Jakób“	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„Pocałunek Fregeny“
Czwartek 19/VI	„Rigoletto“	„Ścieżki cnoty“	„ „ „	„Miłość czuwa“	„ „ „	„ „ „
Piątek 20/VI	„Eugenjusz Onegin“	„Głupi Jakób“	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„ „ „
Sobota 21/VI	„Carmen“	„Ścieżki Cnoty“	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„ „ „
Niedziela 22/VI	„Faust“	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„ „ „	„ „ „

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 24

138. Suknia biała markizetowa. Spódnica z kilku falbanek. Na szyi chustka jedwabna, batikowana.

139. Szal z białej crepe georgette, objęty czarnym, wyszyty czarnymi pacioreczkami.

140. Suknia z surowego jedwabiu, przybrana haftem kolorowym. Na szyi chustka jedwabna, batikowana.

141. Szal gazowy, wyszywany drobnymi pacioreczkami. Jednym końcem otoczony kapelus, drugi spada szeroko na ramiona.

142. Mały kapelusik słomkowy, otoczony jedwabiem w kratę. Chustka z tegoż jedwabiu, objęta wstążką w jednym kolorze.

143. Kostjum letni z surowego jedwabiu koloru piaskowego. Boki układane w drobne fałdeczki.

144. Szal biały, kaszmirowy, bogato haftowany czarnym, objęty czarną plisą.

145. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 5 z płócienka szarego, przybrana ponsową plisłą.

146. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 8 z satyny gładkiej i deseniowej.

147. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6 z niebieskiej dymki, naszyte białymi pliskami.

148. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 8 z granatowego płócienka, przybrana plisą z kretonu deseniowego.

149. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 8 z satyny ponsowej, przybrana pliseczką ponsową z czarnym.

150. Kapeluszek słomkowy pokryty crepe de chine'em deseniowym. Długa szarfa z tegoż crepe de chine'u otacza szyję.

151. Szal jedwabny z frendzlą, bogato haftowany.

152. Kostjum z granatowej wełny. Kołnierzyk wyłożony białą morą.

153. Czepeczek dla małego dziecka z dużą kokardą na czubku głowy.

154. Szal z crepe marocain, haftowany złotem i kolorami.

155. Fartuszek dla dziewczynki od lat 6 do 9 z satyny lub płótna, wyszywany kolorami.

156. Fartuszek dla dziewczynki od lat 3 do 6 z dymki niebieskiej.

157. Fartuszek z białego płócienka, ręcznie haftowany.

158. Fartuszek dla chłopczyka od lat 4 do 6 z jasnej dymki, objęty plisą z deseniowego kretonu.

159. Deseń na poduszkę, lub makatę, haft kolorowy. Wielkość 45x45 ctm.

160 i 162. Narożniki chusteczek do nosa.

161. Serwetka — haft kolorowy, na szarem płótnie. Wielkość 22x20 ctm.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku móg nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Mydła Przetłuszczane

Tow. Akc. FR. KARPIŃSKI
W WARSZAWIE

udelikatniają PŁEĆ, konserwują
ŚWIEŻOŚĆ cery, nadają skórze
miękkosć i MATOWOŚĆ, NIE
NISZCZĄ NASKÓRKĘ

211

QUAKER OATS



oryginalne
płatk
owsiane
dla dzieci,
chorych
i rekonwalescentów,
niezmiernie pożywne
i lekko strawne

SPRZEDAŻ HURTOWA

Tow. Akc.

Lambert i Krzysiak

WARSZAWA, NIECHAŁA № 8.

228



ARTRETYZM i REUMATYZM

Radykalnie leczy

„Vittel Grande Source”

SÓL NATURALNA { pudelko 12 rurek
1 rurka na litr wody

PASTYLKI o przyjemnym smaku

SKŁAD
GL. WNY: L. Nasierowski i S-ka

Apteka, Marszałkowska 21, tel. 30-42, 7-31 i 124-39

Sprzedaż we wszystkich aptekach i składowach aptecznych.

203

Opaski: dla pań korpulentnych, przeciw obwisłości brzucha, po operacyjnej, na latającą nerkę, przeciw obniżeniu żołądka, po przebytem połogu it. d.

Bandaż: na przepukliny brzucha, pępka pachwiny i t.p.

Prostotrzymacze. Pończochy gumowe i t. d. poleca bandażyza

M. Polaczek — w Samborze

180 (cenniki fr. i gr)

MYDŁO „KONIK”



dla
delikatnej
białej
cery

Od Administracji.

Prosimy o uregulowanie zaległej prenumeraty. **Istnienie „BLUSZCZU“, jego regularna wysyłka Szanownym Prenumeratorkom, zależne są wyłącznie od punktualności w uiszczaniu prenumeraty.** Stwierdzamy, że wysyłka „Bluszczu“, jest przez Adm. bardzo dokładnie sprawdzana i ewentualne niedokładności w otrzymywaniu numerów przez Sz. Prenum. nie pochodzą z winy Admin., która wszystkie numery—ze względu na uiszczanie opłaty poczt. ryczałtem—dostarcza Urzędowi poczt. za konsygnacją. **W razie nie otrzymania „Bluszczu“ we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną która, o ile [nosi po stronie adresowej napis „Reklamacja“ i nie zawiera innej treści prócz samej reklamacji, jest wolną od opłaty pocztowej.**

Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.**

ULE i wszelkie przybory pszczelnicze
MIÓD w najlepszych gatunkach
WOSK do robót batikowych stale na składzie

ZAKŁAD PSZCZELNICZY

P.F. STEFAN MIESZKOWSKI
WARSZAWA, UL. WSPÓLNA № 36.

206

Kurzajki, brodawki, czerwoność nosa — usuwam. Zakładam kolczyki.

KLIMECKI — Warszawa, Niecała 5.

NAJWIĘKSZY MAGAZYN
UBIORÓW MĘSKICH

St. Czapińskiego

Miodowa № 4.

235

KRAWIEC DAMSKI

Mistrz Cechowy

NAPOLEON RODZIK

ZIELNA 4 m. 3 tel. 244-27.

POLECA TYLKO NA ZAMÓWIENIA

Letnie, Kostjomy i Płaszczki z własnych i powierzonych materiałów. 196

FABRYKA TRYKOTAŻY

JAN MATUSZEWSKI

NOWY-ŚWIAT 40.

175

— Sprzedaż hurtowa i detaliczna. —

„Bluszcz“ wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót, oraz dodatek powieściowy, zaś raz w miesiącu tablicę krojów i arkusz naturalnej wielkości wzorów haftów do kopjowania na materiale.

Prenumerata „Bluszczu”

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie	42 zł. — gr.
kwartalnie	10 „ 50 „
miesięcznie	3 „ 50 „

Zagranicą:

miesięcznie	7 zł. — gr.
zmiana adresu	— „ 30 „

Wysyłkę „Bluszczu“ przerywamy stanowczo w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca.

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona	90 zł. — gr.
1/2 „	51 „ 75 „
1/4 „	29 „ 25 „
1/8 „	15 „ 75 „
1/16 „	9 „ — „
1/24 „	6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

W Krynicy jak ubiegłe lata

ORDYNUJE:

Dr. Med. Ludwik Korybut - Daszkiewicz
Willa „Trzech Róż“

227

Dr. I. SADOWSKA

Krakowskie Przedmieście 7.

Leczenie Seborrei, trądzika, włosów, opierzchnięcia, czerw. twarzy, nosa.
151 Kosmetyka lecznicza.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE

G E S S N E R A

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

PRALNIA CHEMICZNA

STEFANJI SZYCHOWSKIEJ

W WARSZAWIE, UL. MOKOTOWSKA 41.

!!!CENY PRZYSTĘPNE!!!

214

SKŁAD APTECZNY Tadeusza Hermanowskiego

WARSZAWA

Koszykowa № 22, róg Mokotowskiej
Telefon № 233-05

Wody mineralne, naturalne i sztuczne.
Środki opatrunkowe, Wyprawy położnicze.
Wyroby gumowe, Oliwa nicejska, Ocet wyborowy, Perfumy i kosmetyki krajowe i zagraniczne 219

LEKARZ-DENTYSTA

ZOFJA CHONDZYŃSKA

PRZYJMUJE: BRACKA 3 M. 3

od 4 do 7 wieczór.

106

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“—Długa 9 i l. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.